

721-858

Edoardo Milliciano

[49,333

EDWARD BELLAMY.

20/50

paszkuwa

SIOSTRA

PANNY LUDINGTON

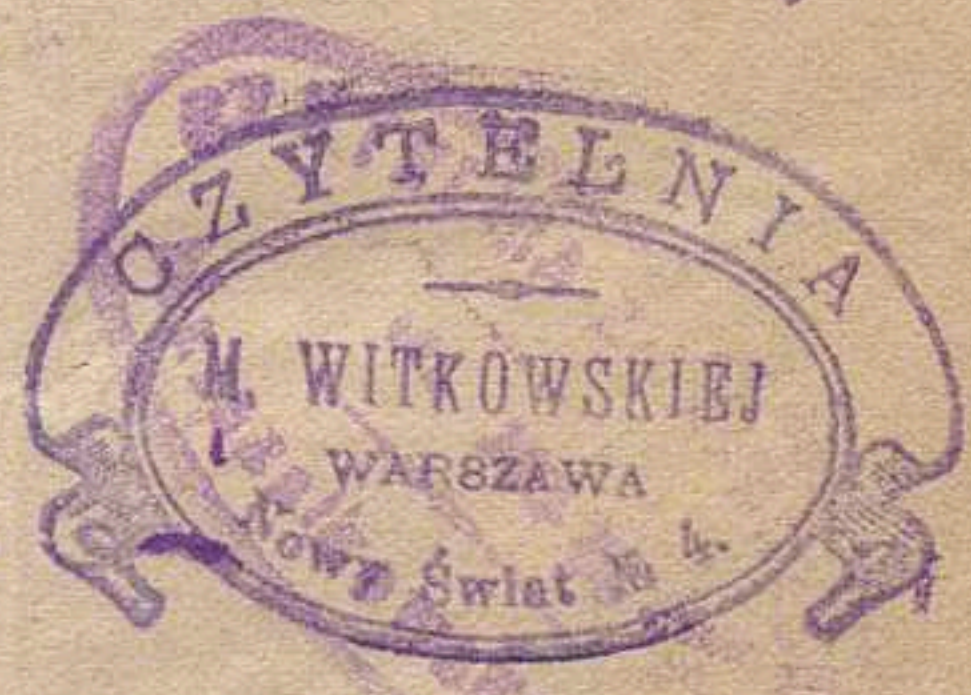
Panny

Ludington

POWIEŚĆ.

Handwritten signature and decorative flourish

4946



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1891.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001003604719

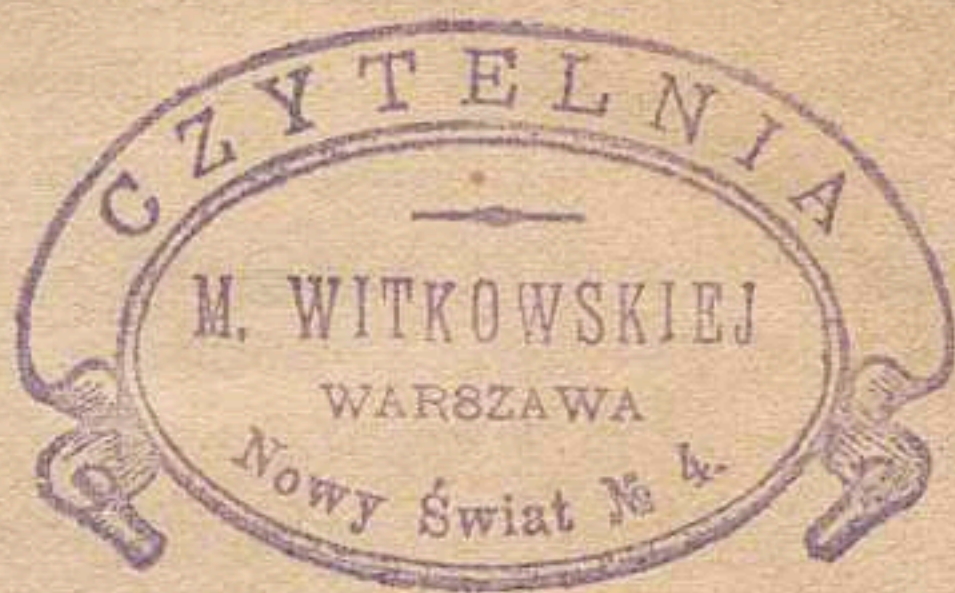


Дозволено Цензурою

Варшава 15 Октября 1890 года.

1.49.333

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.



I.

W życiu niektórych ludzi szczęście rozlewa się dość równomiernie na całą epokę dzielącą kołyskę od grobu; w życiu zaś innych ukazuje się ono niespodzianie, złości swym blaskiem pewne tylko lata, zostawiając inne w pomroce. Przez rok, przez lat pięć lub dziesięć wreszcie — zależnie od szybkości, z jaką tryska źródło życia — wydaje nam się, że powietrze nawet tchnie radością, że szczęście owo stanowi niezbędny istnienia naszego warunek. W latach poprzedzających tę chwilę i po niej następujących za ledwie udźwignąć możemy brzemień życia; wtedy jednak ogarnia nas uczucie niewypowiedzianej błogości. U mężczyzn — takich zwłaszcza, którzy przebojem torować sobie drogę musieli — kulminacyjny ów punkt przypada w epoce dojrzałości. U kobiet życie ześrodkowuje się w latach panieńskich, lub też w okresie rozkwitu urody niewieściej. Twierdzenie to stosuje się szczególnie do kobiet niezamężnych, które z biegiem czasu coraz dotkliwiej odczuwają swą samotność i niczego już nie spodziewają się od przyszłości.

Dobiegłszy dwudziestu pięciu lat życia, panna Ida Ludington zrozumiała, że szczęście jej bezpowrotnie już minęło i że odtąd słodniczy blask wspomnień stanowić będzie jedyny pokarm jej ducha.

Przyczyną zaś tego smutku, który życie jej zatruł gorczą, był nietyle żal za utraconą młodością, ile okrutny sposób, w jaki nagle młodości i urody pozbawioną została.

Rodzina Ludingtonów osiedliła się oddawna w wiosce Hilton, położonej wśród gór w stanie Massachusetts. Nie będąc bogatymi, należeli do najzamożniejszych ludzi w okolicy, posiadali największy dom w wiosce i cieszyli się ogólnym poważaniem. Weszło i swobodnie spędziwszy lata dziecięce, panna Ludington wyrosła na najładniejszą pannę we wsi. Dzięki swej ujmującej powierzchowności, oraz stanowisku rodziców, stała się wkrótce bożyszczem wszystkich młodzieńców, przedmiotem zazdrości swych rówieśnic i duszą życia towarzyskiego w Hilton.

W dwudziestym roku życia, Ida zachorowała tak ciężko, że przez czas długi była między życiem a śmiercią. Mówiąc innemi słowy: piękna panna umarła, a zamiast niej z łoża boleści podniosła się smutna, zwiędnięta kobieta.

Spustoszenia przez chorobę uczynione, nie zostawiły ani śladu z jej piękności. Włosy wypadły podczas choroby; usta tak przedtem świeże, ponętne i purpurowe, stały się teraz zaciśnięte i bezkrwiste; tysiące blizn, szram i zmarszczek zeszpeciło przejrzystą cerę do tego stopnia, że z początku nawet dawni znajomi poznać jej nie mogli.

Każda kobieta, na schyłku młodości stanąwszy, przykrego doznaje uczucia; w większości wypadków jednak proces ten, odbywając się powoli i stopniowo, przytępia, uśmierza jej żal, który zazwyczaj objawia się tylko w postaci nieokreślonego jakiegoś niezadowolenia.

Panna Ludington zaś z przerażającą szybkością padła ofiarą podobnego przeistoczenia.

Zazwyczaj wdzięki młodości zacierają się stopniowo pod wpływem trosk i zawodów życiowych. Ona zaś utraciła je nagle, nie posiadłszy natomiast nic, coby jej osłode przynieść mogło.

Jedyną jej pociechę podczas bardzo długo trwającej rekonwalescencji stanowiła miniatura na kości słoniowej malowana, a przedstawiająca jej podobiznę z osiemnastego ro-

ku życia: w owej bowiem epoce t. j. w ostatnich latach trzeciego dziesiątka naszego wieku nie znano jeszcze dagerotypów.

Zostawszy samą, godzinami całemi wpatrywała się w ten wizerunek własnej postaci; ze łzami w oczach patrząc na czarującą, uśmiechniętą twarzyczkę, przemawiała do niej słowami najczulszych pieszczot. Odtąd nosiła zawsze na piersiach złoty medalionik, zawierający tę miniaturę.

Przyjaciółki odwiedzały ją dość często choć uprzyemnić czas biednej chorej. Słuchała cierpliwie ich gawędy, starając się sprowadzić rozmowę na temat szczęśliwych lat poprzedzających jej chorobę. Przedmiot ten nie nużył jej nigdy; przeciwnie zaś terażniejszość nie wzbudzała w niej żadnego zajęcia.

Odwiedzający ją goście spostrzegli wkrótce, że największą sprawiają jej przyjemność, gdy poprosiwszy o pokazanie miniatury, zachwycić się zaczęły jej pięknnością. Chuda i brzydka twarz Idy promieniała wtedy radością a pytania: „Nieprawdaż, że byłam śliczną? Nie pochlebiono mi przecież?” oraz inne podobne okrzyki zdradzały wewnętrzną radość, jakiej doznawała, przyjmując hołdy pięknej kobiecie składane. A śladu zarozumiałości nawet nie było w jej zachwycie. Zdawałoby się, że nie jak o sobie samej, ale o kimś obcym myśli, odtwarzając w pamięci postać tej ślicznej panny, która zniknęła już, jak gdyby ziemia rozstała się pod jej stopami. I czyż mogło być inaczej, gdy przeniósłszy wzrok z obrazu w zwierciadło, dostrzegła różnicę zachodzącą między obu temi twarzami? Oplakiwała dawną swą postać jakby umarłą, a drogą sercu istotę, którą okrutne losy tak nagle i nielitościwie wymazały z księgi żyjących.

Od dnia, gdy potwornie zmieniona powstała wreszcie z łóżka, nic skłoniłoby jej nie zdołało do włożenia jasnych i strojnych sukien, jakie dawniej nosiła. Odzyskawszy nie-

co sił, schowała je starannie jako pamiątkę po zmarłej; sama zaś ubierała się zawsze czarno lub popielato.

Przez kilka lat jeszcze niedomagała wciąż. Po upływie tego czasu, powróciła do zdrowia, chociaż widocznem było, że nigdy dawnych sił nie odzyska. Wszystkie prawie towarzyski jej i przyjaciółki powychodziły za mąż. Nowe pokolenie, które tymczasem wyrosło, pozostało jej obcem; przed dawnymi rówieśnicami otworzyły się nowe światy i widnokreśli, z któremi ona żadnej łączności nie miała. Stała po za obrębem życia towarzyskiego, które wstąpiło w inne szranki. Teraźniejszość szybkim krokiem postępowała naprzód, ona zaś pozostała jakoby cieniem przeszłości. Inie użalała się na swą dolę. Nie chcąc przerażać swą brzydota, unikała wszelkiego zetknięcia z ludźmi a idąc do kościoła osłaniała twarz gęstą woalką.

Ida była jedynaczką. Matkę straciła oddawna; ojciec umarł podczas jej choroby; pozostała więc sama bez rodziny. Niczem z teraźniejszością niezwiązana, przywykła z dniem każdym zamykać się w przeszłości.

Jedyne światło jaśniejsze zdolne opromienić jej życie, zagasło w epoce młodości, wrota której teraz dopiero zamknęły się za nią. Wspomnienie tych czasów stanowiło jedyne jej szczęście. Po za tem nic dla niej wartości nie posiadało a najwyższą jej troskę stanowiła myśl, że mając szafy, zamki i klucze dla ukrycia złota, srebra i bielizny nie znaleźć nie zdoła w celu uchronienia wspomnień swych od rozplynięcia się w mgłę niepamięci. Mieszkając ze starą służącą w rodzinnej siedzibie Ludingtonów, dokładała wszelkich usiłowań ku temu, aby żadnej zmiany niedopuszczyć, żadnego sprzętu nie poruszyć z miejsca, na którym stał odkąd pamięcią sięgnąć mogła.

Gdyby udało jej się również przeszkodzić wszelkim zmianom po za granicami własnego domu, kto wie czy nie oswoiłaby się prędzej ze swoją niedolą. Niestety jednak, w całej okolicy zachodziły znaczne zmiany: przeprowadzono

kolej żelazną, otworzono kilka nowych sklepów, budowano domy i magazyny — słowem cicha wioseczka składająca się z dwudziestu lub trzydziestu domków najwyżej przeistaczała się stopniowo w hałaśliwą osadę fabryczną. Znając położenie każdego prawie kamyka na drodze, panna Ludington nie mogła teraz przestąpić progu swego domku, żeby nie spostrzegła, iż od czasu ostatniej jej przechadzki usunięto dawny słup graniczny, ścięto jakieś drzewo, położono fundamenta domu na łączce, po której, dzieckiem będąc, biegła, lub też uroczy lasek zamieniono w szereg budowli, zdala czerwieniejących ceglami.

Wszystkich jej sąsiadów opanowała teraz gorączka postępu — jak sami to uczucie określali. Wszędzie rozpoczęło się przekształcanie i przerabianie wszystkiego na sposób nowożytny; tam zaś, gdzie brak środków pieniężnych nie pozwalał na kosztowniejsze przemiany, kielnia mularska przynajmniej nadawała starym ruderom pozór nowości. „Nikt nie poznałby teraz Hiltonu!” — brzmiał sąd z zadowoleniem przez sąsiadów wydawany, a panna Ludington z bólem w sercu słusność tego twierdzenia przyznać musiała. Bezsilny jej gniew rósł w miarę tego, jak każda z tych zmian zacierała stopniowo wspomnienia dawnego jej życia. Raz już umarłej przeszłości zadawano powtórnie cios śmiertelny. Uczucie to stało się wkrótce tak niepodobnem do zniesienia, że postanowiła zaniechać nadal przechadzek i nigdy nie wychodzić z domu.

W tymże czasie, pomiędzy trzydziestym a trzydziestym piątym rokiem życia, odziedziczyła znaczny majątek po dalekim krewnym swego ojca. Znajdując się dotąd w wygodnych bytu warunkach, stała się nagle bogatą. Zdawałoby się, że osoba, której paręset dolarów rocznego dochodu wystarczało na zaspokojenie wszystkich potrzeb, nie potrafi zużytkować większego mienia. A jednak żaden lekkomyślny młodzieniec, pożądamy gorąco zabaw i rozrywek światowych, nie mógłby cieszyć się więcej z nagle pozyskanego bogactwa. Stara panna odmłodziła teraz i uśmiechała się

wesoło, jak gdyby życie nowego dla niej nabrało uroku. Na pracujących we wsi malarzy, traczy i budowniczych, którzy jej mniemaniem dopuszczali się świętokradztwa, spoglądała już nie z pogardą i oburzeniem, ale z nietajonem tryumfu uczuciem.

Wkrótce ukazało się we wsi kilku geometrów, przyzwanych w celu wymierzenia szerokiej, trawą zarosłej ulicy, która stanowiła najstarszą część Hiltonu. Panna Ludington odbywała z budowniczymi długie narady i całymi dniami układała jakieś kosztorysy. W rok potem rzuciła wioskę na pastwę barbarzyńcom i nigdy już do niej nie wróciła. Natomiast przeniosła się do nowego Hiltonu.

Spadek odziedziczony niespodzianie, pozwolił jej doprowadzić wreszcie do skutku zamiar, który powzięła z chwilą rozpoczęcia przemian w wiosce. Między nowymi jej posiadłościami znajdowała się rozległa ferma, położona o kilka mil od Brooklynu, na wyspie zwanej Long Island. Tutaj na jej rozkazy wzniósł się dawny Hilton ze wszystkimi swymi domkami i ogrodami. Pośrodku tej wioski, powstałej nagle, niby za uderzeniem laseczki czarnoksiężkiej, wznosił się dom największy, stanowiący sobowtór rodzinnego gniazda Ludingtonów. Bezwątpienia, zdziwienie geometrów i budowniczych musiało być równie wielkiem, jak wysokiemi okazały się podane przez nich rachunki. Ale panna Ludington zapłaciłaby bez wahania dziesięćkroć większą sumę. Zważywszy jednak, że nowopowstała wieś składała się właściwie z jednej tylko ulicy, na której znajdowało się około trzydziestu jednopiętrowych domków, oraz że nie wykończono wewnątrz żadnej budowli z wyjątkiem szkoły, kościoła i domu mieszkalnego panny Ludington, odtworzenie Hiltonu kosztowało nie więcej niż staranne urządzenie rozległego ogrodu.

Przewiózłszy na Long Island wszystkie sprzęty z domu rodzinnego, panna Ludington z radością w sercu objęła w posiadanie nową swą siedzibę.

Nowa ta wieś była wprawdzie bezludną; jedyna jej mieszkanka nie czuła się tu jednak więcej osamotnioną, niżeli nią była w starym Hiltonie podczas ostatnich lat dzieiesięciu, odkąd dawne jej rówieśniczki stały się czcigodnymi matkami rodzin. Mimowoli prawie żal do nich czuła, że zajęte nowymi obowiązkami, zapominały stopniowo o dawnej jej powierzchowności. Nie ubolewała też nad tem, że sąsiedzi bez żalu ją zegnali. Jedyni sąsiedzi, jacy teraz dla niej istnieli — były to cienie i duchy, zaludniające wieś, dzięki jej staraniom wyrwaną z toni zapomnienia. Doznawała takiego wrażenia, jak gdyby twarze ich uśmiechały się do niej z wdzięcznością z okien domów, które dla nich zbudować kazała. Wyobrażała sobie bowiem, że duchy zmarłych przed laty sąsiadów, odnalazły ten nowowzniesiony Hilton i z radością błąkały się znów po tychże miejscach, w których kochały i cierpiały za życia. Skoro ona bolała tak srodze nad przekształceniem wioski, o ileż boleśniejszym ciosem zmiany te dla nich być musiały! Istota żywa może bądź co bądź znaleźć nowe schronienie, ale umarły nie odnalazłszy swej siedziby, błąka się wiecznie bez dachu... Obypawszy ludzkość największymi dobrodziejstwami, panna Ludington nie doznałaby takiego zadowolenia, jakie napełniało jej serce na samą myśl o tem, że odbudowawszy Hilton zapewniła schronienie wszystkim duchom bezdomnym.

Long Island stało się teraz świątynią, poświęconą czci pięknej dziewicy, która niegdyś nosiła miano Idy Ludington. W salonie, nad dużym staroświeckim kominem wisiał portret olejnymi farbami wykonany przez jednego z pierwszorzędných artystów. Była ta powiększona kopia owej miniatury, która niegdyś stanowiła jedyną jej pociechę. Z ram obrazu występowała postać ślicznej, siedemnasto lub osiemnastoletniej dziewczeczki, posiadającej już niewymowny urok kobiecości. Miała na sobie białą, koronkami przybraną suknię; jasnoblond włosy złocistym blaskiem połyskujące, spadały na utoczone jak z marmuru ramiona; w ciemno-sza-

frowych oczach płonął ogień zapalu a usta zdawały się uśmiechać do świata.

Doprawdy, niepodobna było się dziwić, że panna Ludington gorzkimi łzami opłakiwała śmierć tak uroczej istoty i że dziś jeszcze, po latach tylu, serce jej wzbierało niczem niezłagodzoną tęsknotą.

Jakże wesoło, swobodnie i szczęśliwie płynęło niegdyś życie pięknej tej dziewczeczki! Jakaż przepaść bezdenna dzieliła ją od brzydkiej, chorobą złamanej kobiety, która z niewymownym zachwytem wpatrywała się w oblicze to urodą jaśniejące? A jednak życie jej w pełnym rozkwicie sił i krasy rozwiało się jak cień... jak cudne blaski wczorajszej jutrenki.

Nad portretami rodziców, panna Ludington powiesiła wieńce z nieśmiertelników uwite, ramy zaś tego obrazu otoczyła zawojem żałobnym. I nie dziw! Wierząc niezłomnie w życie przyszłe, wiedziała, że kiedyś połączy się z ojcem i z matką; ale gdzież szukać miała Mesyasza, któryby wskrzesił dziewczeczkę uspioną snem śmierci, z której nie ma zmartwychpowstania?

II.

Pędząc od lat tylu życie samotne, panna Ludington nabrała doń takiego zamiłowania, że gdy w parę lat potem umarł jakiś jej krewny — ubogi wdowiec — poruczając jej opiece jedyne go synka, ciężką walkę stoczyć z sobą musiała, zanim zgodziła się wreszcie na podjęcie tego obowiązku.

Dwuletni Pawełek de Kiemer ślicznym był chłopaczkiem, z ciemnymi jak gdyby wiecznie zadumanymi oczyma. Gdy po raz pierwszy ciotka weszła z nim do saloniku, uwagę jego zwrócił natychmiast portret wiszący nad kominkiem: malec szczebiotać coś zaczął i wyciągał doń rączyny. Zbytecznym byłoby dodawać, że dzięki temu, zaskarbił sobie miłość panny Ludington, której samotne serce od tak dawna żywszem nie zabiło uczuciem.

Gdy dziecię mówić zaczęło, pierwsze jego pytania dotyczyły się „pięknej pani na obrazie“ i czuł się najszczęśliwszym, gdy panna Ludington, wzięwszy go na kolana, opowiadała mu o niej „długie bajeczki“. W opowiadaniach swych mówiła o niej zawsze w trzeciej osobie, bo czyż umysł dziecięcy zdołałby zrozumieć tożsamość uroczej panny Idy ze starą, zwiędniętą kobietą, którą ciotką swoją nazywał? I zresztą, czyż oprócz imienia było cokolwiek między nimi wspólnego? Od tak dawna już nikt jej Idą nie nazywał, że przestała rościć sobie jakiegokolwiek prawa do tego imienia.

Podczas codziennie odbywanych z dzieckiem przechadzek, opowiadała mu tysiące szczegółów, dotyczących się życia pięknej Idy. Opowiadała z zapalem, Paweł słuchał ciekawie a naiwna sympatya dziecięcia była balsamem pociechy dla zboląłego serca starej panny.

Mając osiem lat niespełna, zostawszy pewnego dnia sam w salonie, swawolny chłopczyzna wpatrywał się długo w postać Idy, poczem przysunął krzesło, postawił na niem drugie i wdrapawszy się na to rusztowanie, przyłożył różową swą buzię do portretu i złożył pocałunek na ustach pięknej panny. W tej chwili panna Ludington weszła niespodzianie do pokoju. Porwawszy malca w objęcia, wybuchnęła głośnym płaczem i długo z miłością tuliła go do serca. W parę lat później oświadczył, że skoro dorosnie ożenić się musi z Idą. Panna Ludington powiedziała mu wtedy, że ukochana jego oddawna już w grobie spoczywa. Wiadomość ta wywarła na nim przygnębiające wrażenie i przez czas długi niczem pocieszyć go nie było można.

Nie wychodząc nigdy po za granice wioski, nie znając nikogo, oprócz panny Ludington, chłopczyk nie mniej silnie od niej ulegał wpływowi pięknej dziewczicy, będącej niejako geniuszem opiekuńczym tej duchów siedziby.

Z biegiem czasu, portret Idy nabierał dlań coraz to nowego uroku. Ciemno-szafirowe jej oczy wyzierały z pierwszych jego marzeń o miłości. Stała się ona dla niego idea-

łem piękności kobiecej i podobnie jak słońce spija krople rosy na liściach błyszczące, tak postać jej skupiała w sobie wszystkie uczucia kielkujące w sercu młodzieńca. Krótko mówiąc, Paweł kochał się w niej szalenie.

Naturalnie wiedział już teraz kim ona była. Ale świadomość ta, że istota będąca jego ideałem nie istnieje nigdzie—ni w niebie, ni na ziemi, ni na najodleglejszych świata krańcach—nie osłabiła zgoła uwielbienia, jakim pałał ku niej od tak dawna. Tłumaczył to sobie w nader prosty sposób: „Gdybym nie był zobaczył jej portretu—powiedział pewnego dnia pannie Ludington—nie wiedziałbym, że moja ukochana umarła i szukałbym jej po całym świecie, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie znajduję jej nigdzie“.

Panna Ludington miała już przeszło lat sześćdziesiąt, gdy dwudziestodwuletni Paweł ukończył studia uniwersyteckie. Zdawało jej się, że wstąpiwszy w świat, obracając się w kole młodzieży obojej płci, zapomni on o swych romantycznych mrzonkach—stało się przecież inaczej. Wracając co rok do domu na wakacje, godzinami całemi siadywał przed portretem a fantastyczne owo uczucie coraz silniej utrzymywało się w jego sercu.

Przyjechawszy do domu przed ostatecznymi egzaminami, Paweł rozmawiając z ciotką o Idzie, wygłaszał zdania dziwne jakies i zagadkowe. Zastanawiając się później nad wrażeniem, jakiego wtedy doznała, panna Ludington doszła do wniosku, że widocznie nie rozumiała go wcale: odzywał się o Idzie—o tej istocie spoczywającej snem po wiek wieków nieprzerwanym—jak gdyby ona nie umarła, lecz przeniósłszy się w nadziemskie krainy, wiodła owo duchowe istnienie, będące—naszem zdaniem—udziałem ludzi, których zwłoki do grobu składamy.

W parę miesięcy później, w ostatnich dniach czerwca, Paweł otrzymał dyplom. Panna Ludington pragnęła szczerze być świadkiem jego tryumfu, ale odwykły od tak dawna od widoku twarzy ludzkich, nie mogła pogodzić się z myślą wyjechania z domu. Nazajutrz, po ukończeniu egzami-

nów, oczekiwała jego przybycia. Wstała dnia tego wczesniej niż zwykle w nadziei, że powita go przy śniadaniu — ale wszedłszy do jadalnego pokoju, znalazła na stole list, jego ręką pisany a zawierający kilka gęsto zapisanych arkuszy. Cóż mu się stało i dlaczego zamiast przybyć osobiście obdarza ją tak długim listem?

Paweł usprawiedliwiał się przed ciotką, że przyjąwszy zaprosiny jednego z kolegów, przybędzie dopiero za dni kilka. „W gruncie rzeczy—pisał dalej—jest to tylko pretekst; właściwie bowiem nie przyjeżdżam teraz dlatego, abys miała czas zastanowić się nad kwestyą, którą poruszę w tym liście, a która bezwątpienia zadziwi cię bardzo w pierwszej chwili. Już podczas ostatniej mojej bytności, próbowałem przygotować cię do tego, ale sam jeszcze nie będąc w stanie objaśnić wszystkiego w sposób wyczerpujący, nie powiedziałem nic stanowczego z obawy, czy potrafię wyłożyć ci przedmiot tak jasno i zrozumiale, abys pojęła całą jego doniosłość oraz zasady, na których się opiera. Wiem, że przybywszy teraz na czas dłuższy do domu, nie potrafiłbym zachować milczenia, piszę więc do ciebie, abys rozważyła dokładnie całą tę sprawę, zanim się zobaczymy. Pamiętasz może, że podczas ostatniej naszej rozmowy, zadałem ci pytanie, czy nie przypuszczasz, że Ida żyje? Spodziewałaś wtedy na mnie jak na człowieka pozbawionego zdrowych zmysłów i zapytałaś, dlaczego mówię o niej jak o istocie żyjącej. Nie czując się na siłach do wyjaśnienia kwestyi, odpowiedziałem wymijająco.

A jednak jestem ci winien odpowiedź. Spróbuję teraz wykazać dlaczego wierzę, że ona nie umarła, lecz żyje dotąd pod postacią ducha nieśmiertelnego. Takim jest bowiem moje niezłomne przekonanie, które i w ciebie pragnąłbym wpoić.

Ale nie przesądzajmy nic z góry. Rozbierzmy kolejno wszystkie punkta i zastanówmy się nad niemi. Zapominając o tem, że ją ubóstwiam, udowodnię ci chłodno, rozumowo i logicznie, że ukochana moja żyje i do skończenia

wieków żyć będzie. Ty również zapomnij na chwilę o swej tęsknocie, stłum radość, jaką ci sprawi to przeświadczenie. Niech łzy nie zamglą twego wzroku, niech umysł twój nie straci bystrości sądu. Szaleństwem byłoby wierzyć na ślepo temu, co może okazać się fałszem. A teraz słuchaj uważnie.

Wiadomo ci, że każdego człowieka uważamy zazwyczaj za jednostkę. Twierdzimy również, że każde indywiduum, t. j. każda jednostka stanowi całość nierozdzieloną — czego zresztą dowodzić się zdaje sama etymologia wyrazu. Pomimo to jednak, chwila zastanowienia wykaże nam całą błędność to mniemania. Jednostka — zarówno jak plemię i rodzina — nie stanowi nierozdzielnej całości, ale jest także ciałem zbiorowem, złożonem z większej lub mniejszej ilości osób odrębnych, chociaż zbliżonych do siebie i posiadających pewne cechy wspólne. Pokrewieństwo osób, tworzących jedną rodzinę, bywa w linii prostej lub pobocznej; osoby zaś składające daną jednostkę, pochodzą od siebie bezpośrednio. Zowią się one: niemowlęctwo, dzieciństwo, młodość, wiek męzki, dojrzały, starość i powtórne dzieciństwo.

Pomiędzy osobami temi zachodzą bardzo wybitne różnice fizyczne, umysłowe i moralne. Niemowlęctwo i lata dziecięce są niezrozumiałemi dla wieku męzkiego, który nawzajem zgoła ich nie pojmuje. Młodość czuje wstręt do starości, będącej przecież nieuniknionem jej następstwem a każdy starzec przedstawia znacznie więcej podobieństwa do innych starców — rówieśników swoich — niżeli do siebie samego z epoki młodości. Ileż to razy widzimy, że zepsuty, przewrotny młodzieniec staje się potem mężczyzną prawym, uczciwym, żywiącym odrazę do wszystkiego co niskie i poziome! Sięgając pamięcią w przeszłość, starcy wspominają młode swe lata to z niewypowiedzianą tęsknotą, to znów z uczuciem wstydu i żalu za popełnione winy, zawsze jednak z głębokiem przeświadczeniem, że bezdenna przepaść dzieli ich od tych czasów.

Gdyby mocą jakiejś siły czarodziejskiej możliwem było wywołać wszystkie osoby, składające kolejno daną jednostkę i postawić je naprzeciw siebie, czyż w wielu razach nie wynikłoby między niemi zobopólne nieporozumienie, niechęć a nawet nienawiść? Gdyby np. Szaweł — ten prześladowca uczniów Chrystusa — stanął wobec swego późniejszego *ja*, wobec apostoła Pawła, czyż nie należałoby spodziewać się burzliwego starcia przekonań? Nie nie upoważnia nas do mniemania, że Szaweł przejąłby się zasadami Pawła lub odwrotnie: każdy z nich bowiem uważał swe postępowanie za słuszne i uczciwe.

Gdyby każda z osób składających daną jednostkę nie usuwała się z placu boju przed wystąpieniem następnej, byłibyśmy niejednokrotnie świadkami takiego faktu, że człowiek chwytając za kark własną swą młodość i oddaje ją w ręce sprawiedliwości, oskarżając o przewrotność lub rozpustę.

Nie zawsze jednak taki brak harmonii panuje między osobami, tworzącemi kolejno danego osobnika. W ogólnych przynajmniej zarysach dojrzały mężczyzna wyznaje najczęściej te same poglądy i zasady, w które wierzył młodzieńiec; nawzajem żywią oni ku sobie sympatyę — o ile to jest możliwem, zważywszy, że młodość i starość z zupełnie innego punktu widzenia zapatrują się na świat. Gdyby w tym razie nastąpiło zetknięcie osób składających daną jednostkę, bezwątpienia żyłyby one z sobą w zgodzie i przyjaźni.

Żadna siła czarodziejska nie przywoła nigdy na ziemię minionych *ja* naszego jestestwa; czyż jednak dlatego nie wolno nam żywić nadziei, że spotkamy je kiedyś w innym świecie? Dlaczegoż nie mielibyśmy się tego spodziewać, skoro wierzymy w nieśmiertelność duszy ludzkiej? Jeżeli bowiem odrębne *ja*, które zmarły zanim wstąpiliśmy w życie, nie posiadały duszy, jakim prawem twierdzimy, że w danej chwili istota nasza jest duszą obdarzona? Ze wszystkich osób składających daną jednostkę dzieciństwo, młodość i wiek męzki posiadają najwięcej siły, piękności i uroku. Czy one nie mają duszy? Czyż giną w toni zapomnie-



nia, podczas gdy nieśmiertelność zwiędniętej duszy starości pozostaje niezbitą? Przypuściwszy, że człowiek jedną tylko duszę posiada, należałoby wierzyć, że przebywa ona raczej w latach młodości niżeli w starości. Jeżeli bowiem młodość pełna ognia, siły i zapału zamiera, zostawiając w pamięci słaby ślad zaledwie, jakżeby skarłowaciały duch starości mógł się ostać wobec lodowatego śmierci technienia?

Podczas swej wędrówki doczesnej, trwającej lat kilkanaście lub kilkadziesiąt, człowiek posiada nie jedno lecz kilka ciał, z których każde na nowo powstaje. Fizyologia podaje za pewnik, że w ciele naszym nie ma dziś ani jednego atomu z tych, które wchodziły w skład jego przed kilkoma laty. Czyż dusza nie zamieszkałaby w żadnym z tych ciał z wyjątkiem ostatniego, dlatego jedynie, że rozkłada się ono szybciej od tamtych?

Powiedzą nam może, że pomimo olbrzymich tak fizycznych jak moralnych i umysłowych różnic — zachodzących pomiędzy wiekiem dziecięcym a dojrzałym, pomiędzy młodością a starością — osoby tworzące daną jednostkę posiadają wspólną część składową, która przez cały ciąg życia nie ulega zmianie i stanowi duszę osobnika? Ależ podobna część składowa, która pozostawałaby jednakową w niemowlęciu i w dorosłym mężczyźnie, w młodzieńcu i starcu zgrzybiałym, byłaby tylko bezbarwną jakąś abstrakcją, pozbawioną cech wybitnych — jakimś pierwotnym zaczątkiem życia podobnie jak galaretowata protoplazma. Wobec takiego rozumowania wiara w nieśmiertelność stałaby się niedorzeczną.

O nie! nie! Bóg nie udzielił nam daru tak potwornego i pozbawionego wszelkiej istotnej wartości! Nie tworzył on świata według tak lichego i źle obmyślnego planu! Jedno z dwojga: albo niema zupełnie nieśmiertelności dla nas zrozumiałej i mogącej nas zadowolnić, albo też zarówno dziecięstwo i młodość jak wiek dojrzały i starość posiadają duszę nieśmiertelną i kiedyś spotkawszy się u stóp Tronu Bożego żyć będą pospołu. A gdy wszystkie dusze pewnej je-

dnostki tak doskonałą utworzą harmonię, bezwątpienia tem pewniej dostąpić muszą zbawienia: połączone bowiem węzłem stokroć silniejszym od wszystkich związków doczesnych tworzą życie jednolite a przeciwieź różnorodne — niby harfę wielostrunną, dźwięki której rozlegają się nie bezładnie ale pełnemi, srebrzystemi akordy.

Nie sądz, aby wnioski moje były owocem rozumowań powierzchownych i niezbadanych gruntownie. Przyznaję, że z początku było to tylko marzenie, ku któremu wabiły mnie uroczę oczy kochanki, ale podczas ostatnich kilku miesięcy marzenie to zmieniło się w przekonanie, którego nie zachwiać nie zdoła. Jeżeli przekonanie to podzielać możesz, nadszedł kres twojej żałoby. Co do mnie, wiem że powrót do dawnego sposobu myślenia pograżyłby mnie w otchłań rozpaczy. Musiałbym wtedy wyrzec się wiary w nieśmiertelność. Główną bowiem wagę dla nas stanowi żywot nieśmiertelny — nie tego ostatniego *ja*, które rozpada się w mogile — ale długiego szeregu poprzednio istniejąoych *ja*, które opuszczały nas kolejno podczas tułaczki naszej po tym nędzy padole. W jakimże celu ta garść prochu powstaćby miała z grobu, gdyby tamte masy nie mogły spodziewać się nieśmiertelności? Bóg nie szydziłby z nas tak okrutnie! Wierzę, że On jest Wszechmoonym, że ogarnia okiem minione wieki przeszłości, że żadnej z dusz, które kiedykolwiek do życia powołał, nie zabraknie w dniu, w którym uczynić On zechce przegląd Swych żołnierzy.

III.

Choć zdać sobie sprawę z wrażenia, jakiego doznała panna Ludington po przeczytaniu list Pawła, należałoby przenieść się myślą do czasów, w których nie głośzono jeszcze dogmatu zmartwychpowstania umarłych i wyobrazić sobie, jak silnie wieść ta wstrząsań musiała umysłem kobiety, trawiającej życie w beznadziejnym żalu nad popiołami drogiej sercu istoty.

Panna Ludington marzyć nigdy nie śmiała, aby słoneczna jej młodość, owo „ja“, za którym tak niewypowiedzianie tęskniła, posiadało też prawa do życia nieśmiertelnego. Ptaki, zwierzęta drapieżne, najniższe nawet twory organiczne mogły pod jakąś postać rozpocząć nowe życie na innym świecie; ale żaden kapłan nie głosił nigdy tej nauki, w najbujniejszej wyobraźni poety nie zrodziło się nigdy to marzenie, aby minione „ja“ jednostki przyjmowało udział w nieśmiertelnym bycie wszechistot.

Na chwilę nawet nie zwątpiła o prawdziwości teorii tak przekonywająco wyłożonej. Za ledwie domyśleć się mogła, do jakiego celu zmierzają argumenty, przez Pawła przytoczone, wnet za prawdę niezbitą przyjęła wypływający z nich wniosek, który wydawał jej się tak naturalnym i logicznym, że dziwiła się w duchu, dlaczego sama nie pomyślała o tem dotąd.

I jak promyczek słońca nadaje pozór życia jałowym ugorom, tak wieść ta w mgnieniu oka rozjaśniła posępne jej życie.

Przez cały dzień biegała gorączkowo po domu, śmiejąc się, płacząc z radości, po raz setny z kolei odczytując list Pawła.

Po południu drżącemi ze wzruszenia rękoma zdjęła krepowy welon, zasłaniający od lat tyłu ramy portretu Idy. Dokonywując tej symbolicznej czynności, doznała takiego wrażenia, jak gdyby jaśniejące urodą oblicze uśmiechało się do niej z wdzięcznością. „Przebacz mi! — szepnęła — zawiniłam ciężko, oplakując cię jak istotę umarłą“.

Nad wieczorem dopiero służąca skłoniła ją do przyjęcia posiłku, przez cały dzień bowiem nic w ustach nie miała. Paweł przyjechał nazajutrz. Młody człowiek zastanawiał się z niepokojem, w jaki sposób wieść o nieśmiertelności minionych „ja“ zostanie przyjęta przez pannę Ludington. Siła przyzwyczajenia sprawia, że niektórzy ludzie lubują się w cierpieniu, jakie przez długie lata miotało ich sercem. Kto wie, czy nie przyczynił się tylko do spotęgowania jej

boleści, jeżeli wygłaszane przezeń poglądy wydały jej się fantastyczną mrzonką, wszelkiej racyi bytu pozbawioną?

Ale gdy stanąwszy na progu domu, ujrzał opromienione radością oblicze panny Ludington, wszystkie jego obawy rozpierzochły się w mgnieniu oka. Po raz pierwszy odkąd ją znał, uśmiechała się wesoło i zrzuciwszy żałobne szaty, włożyła jasną suknię.

Słowa nie mówiąc, ujęła go za rękę i zaprowadziła do saloniku.

Sprowadziwszy z Brooklynu dużą wiązanekę nieśmiertelników, przez cały dzień stroiła niemi portret Idy i teraz śliczną twarzą dziewczęcia okalał wieniec kwiatów, będących godłem życia wiekuistego.

Podczas kilku następnych dni, zupełny przewrót nastąpił w umyśle panny Ludington. Żywiąc głęboką wiarę, że dziewczęce jej lata nie zginęły bezpowrotnie w toni zapomnienia, bez żalu, przeciwnie, z rozkoszą sięgała myślą w przeszłość. Na młodość swoją patrzyła teraz nie przez ponurą mgłę wspomnień, ale przez różową nadziei zasłonę.

Zdjęcie sukni żałobnej stanowiło jeden tylko objaw zmiany, zaszłej w usposobieniu panny Ludington. Wesołość jej udzieliła się wkrótce wszystkim domownikom: radosne śmiechy rozbrzmiewały po całym domu; dzieci ogrodnika, które dotąd uciekały z trwogą, ujrawszy zbliżającą się panią, bawiły się teraz swobodnie na ulicy oichej wioseczki.

Co się zaś tyczy Pawła, przeświadczenie, że pani jego serca nie jest li tylko widmem bezpowrotnie minionej przeszłości, ale istotą, obdarzoną życiem nieśmiertelnem, wzmoгло jeszcze i utrwaliło jego uczucia. Nie smucił się tem nawet, że wiele lat jeszcze... aż do chwili śmierci.. czekać musi, zanim się z nią połączy. Wszak dawne jego „ja“ z czasów chłopięcych bezwątpienia już z nią przebywa... wszak ona także tuliła zapewne do serca małego Pawełka z taką samą miłością, z jaką on przed dwudziestu laty wyciągał do niej rączyny.

Nie wątpię, że większość czytelników niedowierzająco wzrusza ramionami, dziwiąc się miłości dla nieistniejącej już kobiety, chociażby ona niegdyś była niedoścignionym ideałem piękności. Paweł zaś innego był zdania: według niego to, co pospolicie zowiemy miłością, było li tylko pościąganiem czysto zmysłowym. Obracając się przez lat tyle w świecie, nie spotkał nigdy kobiety godnej porównania z portretem Idy. Nudził się i ziewał w towarzystwie pań; z pogardliwym uśmiechem słuchał opowiadania kolegów o różnorodnych miłostkach i podbojach serc niewieścich. Czyż oni mogli wiedzieć, czym jest miłość prawdziwa? Jakież przepaść dzieliła prostacze ich, zmysłowe popędy od uczucia, które w sercu jego płonęło — uczucia, które nie żądało, nie spodziewało się nawet wzajemności, w samym sobie znajdując rozkosz najwyższą!

W parę tygodni potem, panna Ludington zadała mu pytanie, jaki zawód obrać zamierza. Pytanie to dziwiło go poniekąd; sądził bowiem, że ciotka zechce zatrzymać go czas jakiś przy sobie po ukończeniu studyów uniwersyteckich. Z przykrością myśląc o oddaleniu się znów od portretu Idy, odpowiedział wymijająco, odkładając na później stanowczą decyzję.

Widząc jego niechęć, panna Ludington zaniechała tej kwestyi i podała mu projekt, aby wyjechał na pół roku zagranicę, w celu uzupełnienia swych wiadomości. Rozdrażniony naleganiem ciotki, Paweł zarzucił ją pytaniami: „Dlaczego ciotcia chce się mnie pozbyć? Czy nam źle z sobą? Odkądże ciotcia przestała mnie kochać? Nigdzie nie będzie mi lepiej niż tutaj i dlatego perspektywa wyjazdu wcale mi się nie uśmiecha. Czy ciotcia pragnie, bądź co bądź wyprawić mnie w świat?“

Nie chcąc mu sprawiać przykrości, panna Ludington umilkła. W głębi serca jednak pragnęła usunąć go z domu dla jego własnego dobra. Wszedłszy pewnego dnia do jego pokoju, znalazła na biurku arkusik papieru, na którym znajdowało się kilka zwrotek: „Do Idy“. Oczy starej panny na

pełniły się łzami, gdy czytała miłosny ów sonet, tohnący namiętnem uczuciem. Zadrżała z przerażenia, widząc jak silny wpływ wywarło podobne urojenie na umysł młodego idealisty, skłonnego do marzycielstwa. Nie ubolewała wiele nad tem, że własne swe życie poświęciła czoł przeszłości, chociaż teraz w świetle nowej wiary widziała swój błąd i żałowała go szczerze; wszelkiemi siłami przecieży chciała przeszkodzić temu, aby smutek podobny nie zatruił młodych lat Pawła. Zastanawiała się długo, szukając sposobu wyprawienia go z domu lub przynajmniej zwrócenia uczuó jego w innym kierunku. Widząc, że wszelkie jej usiłowania w tej mierze nie odnoszą skutku, gorzko wyrzucała sobie własną nieoględność.

IV.

Po upływie paru dni, panna Ludington udała się do Brooklynu dla załatwienia niektórych sprawunków. Wybierając towary zauważyła, że jakaś pani stojąca po przeciwległej stronie sklepu, przyglądała jej się ciekawie. Była to osoba równego prawie z nią wzrostu i nie mniej sowa; tylko skromny, ubogi prawie jej ubiór i ozoło zmarszczkami poorane świadczyły, że życie obeszło się z nią mniej łaskawie nizeli z kobietą, która w obecnej chwili stanowiła przedmiot jej zajęcia.

Gdy panna Ludington podniosła głowę, nieznajoma uśmiechnęła się, podeszła kilka kroków i wyciągając ku niej rękę:

— Nie poznajesz mnie, Ido Ludington?—spytała.

Panna Ludington spojrziała na nią badawczo i usci snąwszy podaną sobie rękę, zawołała z radością:

— To ty, Saro Cobb! Cóż cię tutaj sprowadza?

Obie panie rozpoczęły wnet ożywioną rozmowę, nie troszcząc się o czekającego subiekta, ani o innych gości, którzy woiąż wchodzili do sklepu. Przed czterdziestoma pięcioma laty uczęszczały one razem do szkoły w Hiltonie

a że od wyjazdu p. Ludington nie widziały się nigdy, nie dziw więc, że miały nawzajem bogaty materiał do rozmowy.

— Już od trzydziestu lat nie widziałam nikogo z dawnych mieszkańców Hiltonu — rzekła wreszcie panna Ludington. Musisz mnie odwiedzić. Zanocujesz u nas i pogawędzimy o starych czasach. Nie uwierzyłabyś jak się cieszę z naszego spotkania.

Sara Cobb, która obecnie nazywała się panią Slater i od lat kilkunastu mieszkała w Nowym-Yorku, przyjęła chętnie zaprosiny koleżanki. Umówiono się, że nazajutrz panna Ludington przyśle po nią konie do Brooklynu, dokąd pocztą miała przybyć z domu.

Uściskawszy serdecznie przyjaciółkę i wymógłszy na niej uroczystą obietnicę dotrzymania słowa, panna Ludington z radością w sercu powróciła do domu.

Przy wieczornej herbacie opowiedziała Pawłowi swoją przygodę, przedstawiając obrazowo dzieje rodziny Cobb w ogólności a Sary w szczególności. Znały się obie od dziecka a podczas pobytu w szkole łączyła je przyjaźń serdeczna. Koleżanki przezwwały je „bliźniętami“, gdyż nie rozłączały się nigdy prawie. W owej epoce nie miały przed sobą żadnych tajemnic.

Nazajutrz, po obiedzie, panna Ludington pojechała po przyjaciółkę do Brooklynu, chcąc być świadkiem zdziwienia jakiego Sara dozna zapewne, przestąpiwszy próg nowej jej siedziby. Przyznać należy, że w tym względzie przewidywania jej sprawdziły się w zupełności.

Od strony gościńca wysoki parkan zasłaniał wioskę przed oczyma ciekawych. Za bramą wjazdową znajdowała się długa, żwirem wysypana aleja, która skręcała w prawo obok domku ogrodnika, spełniającego zarazem obowiązki odźwiernego. Teraz widać już było jak na dłoni wioskę całą, złożoną z szarych jednopiętrowych domków, pomiędzy którymi bielał niewielki kościółek z wieżyczką, uwieńczoną złotym kogutkiem.

Pani Slater osłupiała z podziwu na ten widok. W pierwszej chwili zdawało jej się, że to sen tylko i że dawna jej koleżanka posiada czaroksiężką moc wywoływania przeszłości. Gdy panna Ludington ze śmiechem uspokoiła jej obawy w tej mierze, zdumienie jej ustąpiło miejsca gorączkowemu zainteresowaniu i ciekawości. Wysiadłszy z powozu, szły teraz pieszo przez wioskę. Każdy dom, każda zagroda, każdy krzak bzu tysiące wspomnień przywodził na myśl obu kobietom, które śmiały się i płakały zarazem. Idąc zwolna, oglądały się co chwila po za siebie, zatrzymywały przed każdym niemal domkiem, a cała ich rozmowa składała się tylko z wielokrotnie powtarzanych zapytań: „Czy pamiętasz jeszcze to?“ „Nie zapomniałaś tamtego?“

Pani Slater, której przed kilkoma laty zdarzyło się przejeżdżać przez Hilton, zdawała szczegółowo sprawę ze wszystkich zmian zaszłych tamże od czasu wyjazdu panny Ludington. Twierdziła ona, że pomimo rzekomych udoskonalień, nad którymi przyjaciółka jej tak srodze bolała, ogólny wygląd wioski nie zmienił się wcale: przeprowadzono tylko parę nowych ulic, a ludność, potroiwszy się w tym czasie, pomieszała się z mnóstwem obcych żywiołów.

Rozmawiając z ożywieniem, stanęły wreszcie przed szkołą. Panna Ludington otworzyła drzwi i obie weszły ciuchutko, na palcach jak uczennice, które spóźniwszy się na lekcję, pragną ująć uwagi nauczyciela. Porozumiawszy się oczyma, powiesiły kapelusze na wieszadle—jak to niegdyś czynić zwykły—i weszły do izby szkolnej, zajęły w ławce też same miejsca, na których przed pięćdziesięcioma laty siadywały obie przyjaciółki, królujące między koleżankami pilnością swą i urodą. Z wilgotnemi od łez oczyma, z wyrazem wzruszenia na twarzy, siwowłose już dziś kobiety, gawędziły przyciszonym głosem, przypominając sobie wszystkie zdarzenia, które rozegrały się niegdyś w tym pokoju, oraz dawno przebrzmiały gwar śmiechów i rozmów, które rozlegały się echem w pośród tych ścian.

Tam w kącie izby stał duży, żelazny piec, podobny temu, przy którym w mroźny zimowy poranek rozgrzewały skostniałe palce, przybiegłszy z domu w krótkich po kolana ledwie sięgających sukienkach. Na ścianach wisiały mapy, z których czerpały pierwsze... przestarzałe już dziś... wiadomości geograficzne. Koło okna znów stała czarna tablica, na której—ku zadowoleniu nauczyciela—popisywały się na wyścigi z postęпами dokonanymi w algebrze lub w geometryi. Po za niemi ciągnął się cały szereg ławek, z którymi wiązało się tyle smutnych i radosnych przygód, w latach młodości doznanych.

— Czy możesz wyobrazić sobie, Ido, gdzie się obracają wszystkie dziewczęta, które niegdyś siedziały na tych ławkach? — po chwili namysłu spytała pani Slater. — Co do mnie, pamiętam dokładnie młodość swoją i często wspominam ją z rozrzewnieniem, a jednak nie może mi się w głowie pomieścić, że to ja byłam tą wesołą, przystojną dziewczeczką.

— Nie w tem dziwnego—odrzekła panna Ludington.— Jakże mogłabyś wyobrazić to sobie, skoro tak nie jest.

— Ależ, bądź co bądź, jestem tą samą osobą — dowodziła pani Slater.

Panna Ludington spojrzała na nią z uśmiechem.

— Przyznaję, że na swoje lata dobrze jeszcze wyglądasz, że ani praca, ani kłopoty nie pozbawiły cię sił i energii, ale pomimo tego okryłabyś się śmiesznością, chcąc uchodzić za siedemnastoletnią panienkę.

— Byłam nią przecież niegdyś—żartobliwie zawołała pani Slater.—Sądzę, że temu nie zaprzeczysz?

— I owszem, zaprzeczam jak najbardziej—odparła panna Ludington.—Panienska ta stoi mi dotąd żywo w pamięci i dlatego ośmielam się twierdzić, że pomiędzy nią a tobą nie dostrzegam najmniejszego podobieństwa.

— Cóż to za dziwne wykręty?—spytała pani Slater.— Skoro tak poważnie traktujesz tę kwestyę, przyznać muszę, że twarz moja uległa pewnej zmianie w ciągu owych czter-

dziestu pięciu lat, oraz że umysł mój i serce zmieniły się niemniej od powierzchowności. Ale pomimo tych zmian, jestem i do śmierci pozostanę tą samą osobą.

— Co chcesz przez to właściwie powiedzieć?—spytała panna Ludington.—W jednym i tem samym zdaniu utrzymujesz, żeś się zmieniła i że pozostałaś taką jak dawniej. Zmieniwszy się, nie mogłaś pozostać tą samą osobą, a pozostawszy nią, nie mogłaś się zmienić.

— Doprawdy, chciałabym wiedzieć, do czego zmierzasz?—zagadnęła pani Slater, stropiona tem rozmowa-
niem.—Zdaje mi się, że sprzeczamy się tylko o słowa.

— O nie!—żywo zaprzeczyła panna Ludington.—Według ciebie, każda z nas... siwych i starych już kobiet... pozostała tą samą dziewczynką, która przed czterdziestoma laty siedziała na tej ławce. Ja zaś twierdzę, że między nami a niemi nie niema wspólnego i przez wzgląd na niewinne ich duszyczki Bogu za to dziękuję. Jestże to spór o słowa tylko?

— Cóż się w takim razie z niemi stało?—spytała pani Slater.

— Zapytaj raczej, ooby się z niemi stało wtedy, gdy byśmy chciały szukać ich w nas samych. Postaram się jednak odpowiedzieć ci na to pytanie. Dostały one takiego losu, jaki stanie się i naszym udziałem, gdy nadejdzie na nas kolej ustąpienia z widowni życia! obdarzone bytem nieśmiertelnym przebywają u stóp tronu bożego, gdzie kiedyś połączymy się z niemi.

— Jakież to dziwaczne przypuszczenie!—zawołała pani Slater, spoglądając ze zdziwieniem na przyjaciółkę.

— Mnie zaś—podjęła panna Ludington, zarumieniwszy się nieco—wydaje się ono mniej dziwaczne i prawdopodobniejszem, niżeli wygłoszone przez ciebie zdanie, że każda stara kobieta jest jakoby mumią młodego, pełnego uroku dziewczęcia. Czyż nie przyjemniej pomyśleć, że młodość nasza po wiek wieków żyć będzie, aniżeli szukać jej śladów

w zgrzybiałem ciele? O! wierzaj mi, moja droga, że róże i lile naszej młodości w raju rozkwitają!

Zajęte rozmową, nie spostrzegły, że czas upływał nieznacznie i że ściemniać się już zaczynało. Zawstydzona swem zapomnieniem o obowiązkach pani domu, panna Ludington pierwsza dała hasło do odwrotu i mijając zwolna szeregi domków, szczegółowo wykladała przyjaciółce dogmat o mnogości dusz nieśmiertelnych, opowiadając, że wiara ta położyła wreszcie kres beznadziejnej rozpacz, z jaką spoglądała dotąd w lata minionej młodości. Pani Slater słuchała w milczeniu.

— Zkądże posiadasz ten portret? — zawołała, wszedłszy do saloniku z panną Ludington, która przed herbataą oprowadzić ją chciała po całym domu.

— Kogo ci on przypomina? — spytała panna Ludington.

— O tem wiem dobrze—odparła pani Slater—pojąć jednak nie mogę, jakim sposobem go zdobyłaś.

— Wiedziałam zawczasu, że zwrócisz nań uwagę — z zadowoleniem odparła panna Ludington. — Poznawszy tę osobę, dziwisz się zapewne, dlaczego nigdy przedtem nie widziałas u mnie jej portretu?

— Naturalnie! — oświadczyła pani Slater.

— Wytłomaczę ci to zaraz — podjęła panna Ludington. Czy pamiętasz miniaturę na kości słoniowej malowaną, która stanowiła jedyną mą pociechę po tej strasznej chorobie? Otóż przeniósłszy się tutaj, kazałam zdjąć z niej kopię w powiększonym formacie. Zdawało mi się zawsze, że malarz doskonale uchwycił podobieństwo, to też cieszę się niewypowiedzianie widząc, że mnie poznałaś od pierwszego rzutu oka.

Gdy podano herbatę, panna Ludington przedstawiła swego wychowanka przyjaciółce, która przyglądała mu się ciekawie, wiedząc już o fantastycznej miłości młodego człowieka. Paweł, oddawna znając z opowiadania wszystkich mieszkańców Hiltonu, przyjmował żywy udział w roz-

mowie obu pań i po herbacie wspólnie z niemi udał się do tej części wioski, której pani Slater nie widziała dotąd.

Późnym wieczorem wróciwszy do domu, zasiedli jeszcze do gawędki w saloniku. Pani Slater spoglądała co chwila na portret wiszący nad kominkiem, aż wreszcie uczyniona przez nią wzmianka o okalającym go wieńcu z nieśmiertelników, naprowadziła znów rozmowę na temat nowej a tak dziwnej wiary.

Pani Slater, osoba nie posiadająca wyższego wykształcenia, ale obdarzona dużym zasobem zdrowego rozsądku, oraz niepospolitą siłą charakteru—odzywała się z niedowierzaniem o kwestyi nieśmiertelności minionych „ja“.

Paweł z zapałem bronił teoryi, stanowiącej—jego zdaniem—najlogiczniejszy sposób zrozumienia nieśmiertelności. Przypuszczenie, jakoby człowiek we wszystkich epokach swego życia posiadał jedną tylko duszę, wydawało mu się równie niedorzecznem, jak staroindyjska wiara w metempsychozę, głosząca, że dusza wstępuje kolejno w różnorodne, niepodobne do siebie ciała.

— Przekonaliście mnie do pewnego stopnia—oświadczyła pani Slater—nigdy jednak nie słyszałam, aby komukolwiek ukazał się duch wcześniejszej epoki jego życia. Dla czegoż duchy te niczem nie objawiają swego istnienia, jeżeli w istocie są nieśmiertelne? Czy wywoływano je kiedykolwiek na spirytystycznych posiedzeniach?

— Ależ cała teoria spirytyzmu jest wierutną blagą—z oburzeniem zawołał Paweł. — Wywoływanie duchów należy do przestarzałych już przesądów.

— Nie przeczę, a nawet poniekąd przyznaję panu słuszność—odrzekła pani Slater. — Gdybym jednak wierzyła w to tak głęboko jak pan, pojechałabym do New-Yorku i zwróciłabym się do którego z tych medyków, o których dzienniki rozpowiadają takie cuda, z żądaniem wywołania ducha mojej młodości. Prawdopodobnie nie zdołaliby tego uczynić, ale bądź co bądź, nie należy nic zawczasu przesądzać, a przyzna pan, że oczywistość jest stokroć więcej prze-

konywającą, niż najpiękniejsze teorye. Zobaczywszy na własne oczy ducha mojej młodości, musiałabym uwierzyć w jego odrębne, niezależne od mojej osoby istnienie.

— Według mnie, każde medyum jest blagierem — oświadczył Paweł, ale po chwili namysłu dodał: — Przepraszam, może pani należy do spirytystów?

— Nie — dobrodusznie zaprzeczyła pani Slater. — Zdaje mi się, że oni rachują na łatwowierność ludzką, chociaż kto wie, ile w ich doświadczeniach prawdy się kryje. Dlaczego pan nie spróbujesz przekonać się o tem osobiście? Nie straciłbyś nic na tem, prócz kilku godzin czasu i zapłaty za jedno posiedzenie. A któż zaręczy, że być może nie uda się panu zobaczyć ją — dodała wskazując na portret.

Paweł zbladł śmiertelnie.

— Co do mnie — wtrąciła panna Ludington drżącym ze wzruszenia głosem — nie pożalowałabym czasu ani pieniędzy, gdybym przypuszczała tak jak ty, że jest to możliwe.

— Zapewne — odrzekła pani Slater — zapominasz tylko, że ja muszę rachować się z każdym groszem. Taka np. pani Legrand uważana za najbieglejszą w swej sztuce, każe sobie płacić po 50 dolarów za posiedzenie. Nie mam pieniędzy na tak kosztowne zabawki. A jednak gdybym wierzyła w to, co wy utrzymujecie, nie wahałabym się żyć o chlebie i wodzie dopóty, dopóki nie zebrałabym sumy potrzebnej i nie przekonała się, czy ta kobieta potrafi wywołać ducha mojej młodości.

Paweł podniósł się z miejsca i przeszedłszy kilka razy po pokoju, stanął przy kominku; po chwili milczenia odchrząknął i zapytał:

— Czy pani widziała kiedykolwiek panią Legrand, a właściwie czy pani była obecną takiemu posiedzeniu?

— Tak — odrzekła pani Slater. — Jedną z moich przyjaciółek, pani Reinhart, owdowiawszy, zaczęła chodzić bardzo często do pani Legrand, która wywoływała ducha jej męża. Otóż pewnego dnia zabrała mnie z sobą.

Nastąpiła znów chwila miłozenia; panna Ludington i Paweł oczekali widocznie dalszego ciągu opowiadania, aż wreszcie doczekać się go nie mogąc, zawołali jednogłośnie: „I cóż widziała?” „Co pani widziała?”

— Widziałam postać bardzo przystojnego mężczyzny — odrzekła pani Slater. — Można było odróżnić najdokładniej rysy a nawet wyraz jego twarzy; przyjaciółka moja dowodziła, że duch ten jest najzupełniej podobnym do jej męża, o czym ja sądzić nie mogę, bo nie znałam go wcale. Być może, że to wszystko było złudzeniem tylko, a jednak nie byłam zdolną oprzeć się wrażeniu. Nie wierząc z zasady w żadne zjawiska nadprzyrodzone przyznać muszę, że to, co ujrzałam owego wieczoru, wprawiło mnie w niewypowiedziany podziw. Widocznie przynosiło to mojej przyjaciółce stokroć więcej pociechy, aniżeli by jej znalazła we wszystkich wierzeniach religijnych i filozoficznych systematach.

Umilkłszy, pani Slater spoglądała z zamyśleniem przed siebie, jak gdyby starając się odtworzyć w pamięci owo widzenie. Panna Ludington utkwiała spojrzenie w portrecie pięknej dziewczyny. Ręce jej drżały nerwowo; zdawała się zapominać w tej chwili o całym świecie.

Paweł pierwszy przerwał milczenie.

— Pojadę do pani Legrand — rzekł spokojnie. — O! cioteczka nie potrzebuje mi towarzyszyć, jeżeli nie ma ku temu ochoty, potrafię sam dać sobie radę.

— Czy sądzisz, że pozwolę na to? — drżącym głosem spytała panna Ludington. — Wszak cała ta sprawa obchodzi mnie bardzo żywo.

— Gdzie mieszka pani Legrand? — spytał Paweł, zwracając się do pani Slater.

— Nie umiem panu tego powiedzieć. Już parę lat upłynęło od owej pory, gdy byłam na tem posiedzeniu i pamiętam to tylko, że jechałyśmy przez dolną część miasta, około Broadway.

— Czy nie mogłabyś dowiedzieć się jej adresu od pani Reinhart? — spytała panna Ludington.

— I owszem—odrzekła pani Slater.—Lękam się tylko czy pani Legrand bawi dotąd w New Yorku, słyszałam bowiem, że żadne medyum nie przesiaduje długo w jednym mieście. W każdym razie uczynię wszystko, co będzie w mej mocy... A teraz, moja droga, sądzę, że czas już udać się na spoczynek.

V.

Pani Slater wyjechała nazajutrz rano. W dwa dni potem panna Ludington otrzymała od niej list, w którym wspominając mile bytność swą u przyjaciółki donosiła, że byłaby zmuszoną wyrzec się tej przyjemności, gdyby ją była odłożyła chociaż na dzień jeden. Wróciwszy do domu, dowiedziała się, że mężowi jej obiecano bardzo korzystną posiadłość w Cincinnati, pod warunkiem, aby ją objął natychmiast. Nie tracąc czasu, musiała bezzwłocznie zająć się pakowaniem rzeczy, przygotowaniami do podróży: dziś w nocy bowiem wyjeżdżają do Cincinnati i prawdopodobnie nigdy już w te strony nie powrócą. W przypisku drżącą z pośpiechu ręką skreślonym pisała:

„Od chwili powrotu do domu miałam tyle zajęcia, że teraz dopiero przypominam sobie daną wam obietnicę dowiedzenia się adresu pani Legrand. Przypuszczam, że niewiele ci zależy na tej wiadomości i że prawdopodobnie zapomniałaś już o naszej rozmowie. Bądź co bądź, chcę dotrzymać słowa i jeżeli czas mi pozwoli, zawiadomię moją przyjaciółkę o waszem życzeniu, prosząc o przysłanie wam adresu spirytystki“.

List ten nie sprawił pannie Ludington zawodu: przeciwnie, cieszyła się w duchu, myśląc, że pani Slater nie znajdzie może czasu na rozmówienie się z przyjaciółką. Zamiar udania się na spirytystyczne posiedzenie musiałby w takim razie spełznąć na niczem— a tego właśnie szczerze sobie życzyła. Po głębszym namyśle doszła bowiem do wniosku, że krok podobny byłby nietylko nierozsądnym,

le nadto nie liczącym z jej stanowiskiem i sposobem myślenia. Dziwiła się teraz, że ulegając pierwszemu wrażeniu mogła na chwilę chociażby na serio o tem pomyśleć. Zarówno jak większość ludzi wykształconych i trzeźwo myślących, panna Ludington sądziła, że wiara w duchy polega na zabobonie sprzeciwiającym się religii i zasadom moralności, że propagatorzy tej wiary dopuszczają się oszustwa a ofiarami jej głupcy tylko padają—słowem, że cała teoria spirytyzmu jest najniedorzeczniejszą mrzonką. Zdrowy rozsądek nie pozwalał przypuszczać, aby medyum mogło wywołać ducha jej młodości lub jakąkolwiek umarłą istotę.

Panna Ludington odetchnęła spokojniej po przeczytaniu listu pani Slater, Paweł zaś doznał głębokiego rozczarowania. Uprzedzenia do teoryi spirytyzmu nie zdołały jeszcze zakorzenić się tak silnie w jego umyśle. Dowodził wprawdzie, że każdy spirytysta jest oszustem a ukazywanie się duchów—li tylko złudzeniem; podzielał jednak zdanie pani Slater, że odrobina chociażby prawdy kryć się w tem musi.

Do pewnego przynajmniej stopnia przypuszczał on możliwość, że pani Legrand stawi mu przed oczy żywą postać i oblicze istoty, którą dotąd w marzeniu tylko ukochał. Przypuszczenie to zawładnęło jego wyobraźnią tak dalece, że stopniowo uwierzył w jego prawdopodobieństwo. Paweł podobny był do zapalonego gracza na loteryi, który myśląc jedynie o możliwości wygrania głównego losu, zapomina najzupełniej o pozostałych dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu przegrywających biletach.

Przed bytnością pani Slater zadawał się miłością dla wymarzonej istoty dlatego, że wszelkie zbliżenie do niej wydawało mu się niepodobieństwem. Teraz jednak nie był już zdolnym odzyskać dawnego spokoju ducha. Przypuszczając, że przyjaciółka pani Slater nie nadeśle żadnej wieści, postanowił odszukać osobiście panią Legrand lub też nie znalazłszy jej — udać się do innego medyum. Gorączka palająca w żyłach młodego człowieka nie mogła uśmierzyć

się dopóty, dopóki nadzieje jego nie zostałyby zniszczone lub też zawiedzione ostatecznie.

W trzy dni potem, nadszedł jednak list tak niecierpliwie przezeń oczekiwany. Pani Reinhart pisała, że przyjaciółka jej, wyjeżdżając niespodzianie do Cincinnati, poleciła jej wysłanie adresu pani Legrand pannie Ludington, która życzy sobie odbyć posiedzenie ze znakomitą spirytystką. Posiadając żądany adres, mogła przysłać go niezwłocznie; nie uczyniła tego jednak, bo pani Legrand zarzucona zamówieniami, nie odpowiedziałaby na listowną prośbę osoby sobie nieznanej. Pragnąc wyświadczyć przysługę dawnej koleżance swojej przyjaciółki, udała się osobiście do pani Legrand, prosząc o naznaczenie godziny posiedzenia. Pani Legrand oświadczyła w pierwszej chwili, że w przeciagu czterech przyszłych tygodni nie ma ani jednej godziny wolnej; dowiedziawszy się jednak, że panna Ludington pragnie przekonać się, czy minione nasze ja posiadają duszę nieśmiertelną, żyjącą niezależnie od naszej istoty w danej chwili, cofnęła poprzednio uczynione przyrzeczenie i wzywa pannę Ludington nazajutrz, na godzinę dziewiątą wieczorem do swego mieszkania przy ulicy Dziesiątej. Pani Legrand utrzymuje, że chociaż nigdy nie spotkała nikogo, ktoby jawnie głosił wiarę w nieśmiertelne życie naszej przeszłości, obcoując przez lat tyle ze światem duchów, zauważyła niejedno zjawisko, które zdaje się popierać tę wiarę. Rezultatu posiedzenia, mającego się odbyć nazajutrz, oczekuje zatem z taką samą niecierpliwością jak panna Ludington. Pani Reinhart pisała dalej, że chce przypuszczać, iż panna Ludington będzie mogła stawić się na oznaczoną godzinę, wątpi bowiem czy w razie odmownej odpowiedzi uda jej się uzyskać dla niej posiedzenie o innej porze. W nadziei, że oczekiwanie panny Ludington nie będzie zawiedzionem, pozostaje z szacunkiem i t. d. i t. d.

Przeczytawszy ten list Pawłowi, panna Ludington napomknęła — chociaż nie bez pewnego wahania — że zdrowy rozsądek nakazuje zaniechać tak niedorzecznego zamysłu.

Nie chcąc robić zawodu pani Legrand, możnaby odesłać jej honorarium, usprawiedliwiając się niemożnością przybycia na oznaczoną godzinę. Tym sposobem cała sprawa zakończyłaby się pokojowo. Ale Paweł, spojrzawszy ze zdziwieniem na ciotkę, oświadczył, że pojedzie sam do New-Yorku, jeżeli ona nie ma zamiaru mu towarzyszyć. Widząc niezłomne jego postanowienie, panna Ludington nie stawiała dłużej oporu.

Prawdę mówiąc, opór jej niezupełnie był szczerym. Nowy przewrót nastąpił w jej uczuciach: list pani Reinhart wywarł bowiem na nią wpływ równie silny jak rozmowa z panią Slater. Dowiedziawszy się, że pani Legrand uznaje słuszność i prawdopodobieństwo wiary w nieśmiertelność „ja“, przypuszczać zaczęła, że znakomita spirytystka nie jest oszustką, wprowadzającą w błąd łatwowiernych. Ogólnikowa wzmianka o owych zjawiskach, które zachodzą w świecie duchów zdawały się potwierdzać nową wiarę, rozgorączkowała jej wyobraźnię. Jakież tajemniczy dar jasnowidzenia posiadała ta kobieta, błakająca się wciąż myślą wśród istot ciała pozbawionych? Czyżby duchy skarżyły się jej słowami, niezrozumiałymi dla zwykłych śmiertelników?

Panna Ludington była już teraz tak spokojną, jak gdyby grono znawców wydało stanowczy sąd w tej mierze. Zapomniawszy dawnych wątpliwości, była prawie pewną, że ujrzy nazajutrz śliczną dziewczeczkę, która przed wielu laty była jej własnym „ja“. Nadaremnie usiłując stłumić radość przepelniającą jej serce, przygotowywała się teraz do spojrzenia oko w oko istocie, która na chwilę opuścić miała niebiańską swą siedzibę i znów powrócić na ziemię.

Paweł także poddawał się bez oporu gorączce oczekiwania. Jakże wyglądać będzie nieśmiertelna jego kochanka? Jaki jest wzrost jej? Chód? Postawa? Jakie spojrzenie zwrócić raczy na niego? Jeżeli spojrzy obojętnie—on padnie u stóp jej martwy z bólesci... A jeżeli miłość malować się

będzie w jej wzroku, czyż on życiem nadmiaru szczęścia nie przyplaci?

List pani Reinhart nadszedł wczesnym rankiem. Zato pieni w myślach o ważnej chwili, mającej nadejść wkrótce, panna Ludington i Paweł zapomnieli zupełnie o sobie. Podczas obiadu żadne z nich nie wzięło nic do ust i słowa nie przemówiło. Miotani gorączkowym niepokojem, pragnęli ukryć przed sobą niecierpliwość, z jaką oczekiwali jutrzejszego wieczoru.

Panna Ludington położyła się o zwykłej porze, ale sen nie kleił jej powiek. Około drugiej w nocy usłyszała skrzypnięcie drzwi od pokoju Pawła a następnie odgłos przyciszonych kroków na schodach. Zarzuciwszy szlafrok, zeszła na dół. W salonie paliła się lampa a drzwi stały otworem. Skradając się na palcach, panna Ludington podeszła bliżej.

Paweł stał przed kominkiem: oburącz o gzyms oparty tonął spojrzeniem w twarzy pięknej dziewczycy, uśmiechał się do niej i szeptem coś przemawiał. Panna Ludington zbliżyła się niepostrzeżenie i położyła mu rękę na ramieniu. Ujrzawszy ją, młody człowiek nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Dlaczego nie położyłeś się dotąd, Pawle? — spytała łagodnie.

— Na nicby się to nie zdało — odrzekł — nie potrafiłbym dziś usnąć i dlatego przyszedłem tu do niej. Czy możesz wyobrazić sobie, cioteczko, to szczęście, jakiego mamy zaznać jutro? Zobaczę ją wreszcie!

Nerwowe wzburzenie młodego człowieka rozplynęło się w potoku namiętnych łez, aż wreszcie pannie Ludington udało się namówić go do udania się na spoczynek.

Tak, on stokroć namiętniej od niej kochał tę istotę! Panna Ludington z niewypowiedzianą trwogą oczekiwała dnia następnego, myśląc jak ciężkiego Paweł doznałby zawodu, gdyby rzeczywistość zadała kłam jego nadziejom. A czyż po chwili namysłu można było spodziewać się ziszczenia takich nadziei?... Niczem niezachwiana ufność Pawła podkopała znowu jego wiarę.

VI.

Mając do przebycia dość długą drogę, panna Ludington kazała zajechać o siódmej i natychmiast po herbacie — którą sprzątnięto ze stołu nietkniętą — wsiadła z Pawłem do powozu.

— Iękam się, czy nie popełniamy szaleństwa — zagadnęła, wyjechawszy po za granice wioski.

Pawł nie odpowiedział i podczas całej drogi trwającej przeszło dwie godziny, żadne z nich nie odezwało się więcej.

Powóz zatrzymał się wreszcie na ulicy Dziesiątej przed domem nie różniącym się niczem od sąsiednich kamienic. Jedyłą oznakę tajemniczych spraw, jakie w nim zachodziły, stanowiła tylko przybita na bramie biała tablica z napisem: „Pani Legrand. Spirytystka i medyum“.

Dziewczynka, mogąca mieć około dwunastu lat, ale wyglądająca znacznie starzej, otworzyła im drzwi. Ciemne wijące się w puklach włosy, duże czarne oczy i blada cera twarzy, nadawały jej pozór dyablęcia, licujący z charakterem całego domu. Dygnawszy uprzejmie, wprowadziła gości do salonu, gdzie zastali panią Legrand oraz doktora Hull, będącego wspólnikiem i pomocnikiem spirytystki.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, wyglądający bardzo poważnie i okazale, ku czemu przyczyniało się niemało wysokie czoło, długa, siwa broda i oczy osłonięte złotymi okularami. Na pierwszy rzut oka doktor sprawiał wrażenie uczonego; w istocie każde słowo wyszłe z ust jego zdradzało niepospolite wykształcenie.

Pani Legrand była osobą niepierwszej już młodości ze szpakowatemi, po mężku ostrzyżonemi włosami. Cere miała bardzo śniadą a szerokie ciemne obwódki okrążające oczy nadawały jej pozór istoty wątłej i schorowanej. Spojrzawszy na nowo przybyłych nawpół przymkniętymi oczy-

ma, zapytała głosem tak słabym, jak gdyby wymówienie każdego słowa przychodziło jej z trudnością:

— Czy pani Reinhart uprzedziła państwa jak żywe zajęcie wzbudziło we mnie przypuszczenie, że dusze wczesniejszych epok naszego życia, mogą przebywać w krainie duchów? Pomyślny rezultat dzisiejszego naszego posiedzenia wprowadzi naukę spirytyzmu na zupełnie nowe tory.

— W każdym razie rezultat naszego posiedzenia nie zdoła zachwiać mojej wiary—odrzekła panna Ludington.

— Cieszy mnie to — oświadczyła pani Legrand—mam jednak przeczucie, że próba nasza wypadnie pomyślnie a dotąd nigdy jeszcze przeczucie mnie nie zawiodło.

Paweł zadrżał z radości słysząc te słowa.

Zamieniono jeszcze parę ogólnikowych uwag, poczem wszyscy umilkli. Doktor Hull pierwszy przerwał milczenie i zwracając się do pani Legrand:

— Czy możemy już zagać posiedzenie?—zapytał.

— I owszem—niedosłyszalnym prawie głosem odrzekła spirytystka. — Może pan zechce zaprowadzić tych państwa do gabinetu.

— Nie chcąc, aby nas posądzono o oszustwo — rzekł doktor — pozwalamy zwykle gościom obejrzeć dokładnie pokój, w którym ukazują się duchy, wywołane przez panią Legrand. Służę państwu—dodał, podnosząc się z miejsca.

Otworzywszy drzwi, doktor wprowadził gości do pokoju tejże wielkości co salon, ale zupełnie pustego. W pokoju tym panowały głębokie ciemności, gdyż jedyne okno zamknięto szczelnie okiennicami.

Oprócz połączenia z salonikiem, znajdowały się tutaj jeszcze jedne drzwi, prowadzące do małego gabinetu, mającego sześć stóp długości a pięć szerokości i oddzielonego od sąsiedniego pokoju drewnianem przepierzeniem, sięgającym sufitu. W gabinecie tym nie było żadnych mebli oprócz wyplatanej kanapki, pod którą niepodobna było ukryć kogośkolwiek.

— Pani Legrand spoczywa zwykle na tej kanapce, wywołując duchy—objaśnił doktor Hull.

W gabinecie dywan leżał na podłodze, ściany były czysto wybielone a sufit — podobnie jak w całym mieszkaniu—nie posiadał żadnych ozdób.

W istocie, przypuszczenie, aby ktokolwiek wszedł niepostrzeżenie do gabinetu lub też do ciemnego pokoju, wydawało się niepodobieństwem. Pomimo tego jednak, doktor Hull nalegał, aby goście ostukali ściany i podnieśli dywan w celu upewnienia się, że nie ma tu żadnych drzwi ukrytych. Spokój, z jakim ci ludzie przystępowali do dzieła, oraz środki ostrożności przedsięwzięte w celu usunięcia wszelkich podejrzeń, mogłyby wzbudzić wiarę w człowieka, wysmiewającym się z kuglarstwa spirytystów. Nie dziw więc, że panna Ludington i Paweł wierzyli teraz niezawodnie w spełnienie marzeń, o których dotąd myśleć śmieli zaledwie. Szli jak we śnie za doktorem Hull, patrzyli obojętnie na rzeczy, na które on zwracał ich uwagę, odpowiadając bezmyślnie na jego pytania i nie zdając sobie sprawy z tego co czynią. Myślami ich owładnęło tylko oczekiwanie niewypowiedzianej radosnej chwili, w której ujrzą wreszcie istotę tak gorąco przez nich ukochaną.

Zresztą oglądanie wszystkich szczegółów—jakkolwiek bardzo przekonujące — było im najzupełniej obojętnem. Nie przywiązując wagi do istotnej wartości teorii wywoływania duchów, pozwoliliby spirytystce posilkować się najsztuczniejszymi nawet maszyneryami. Wiedzieli, że nie padną ofiarą oszustwa, że w każdym razie potrafią stwierdzić tożsamość rysów istoty, obraz której wyrył się tak głęboko w ich pamięci.

Gdyby setki drzwi nawet ułatwiały wejście do gabinetu—postać, którą ujrzeć pragnęli, mogła zstąpić tylko z duchów krainy.

Po dokładnym obejrzeniu saloniku, oraz przekonaniu się, że i tu także nikt nie był ukrytym, doktor Hull zamknął na klucz drzwi, prowadzące do dalszej części mieszka-

nia. Zastawiwszy jeszcze drzwi krzesłem dla większego bezpieczeństwa, oddał klucz Pawłowi.

Pani Legrand powstała wtedy w milczeniu, słaniając się przeszła przez pokój i znikła w gabinecie.

Tymczasem pannę Ludington ogarnęło niezem niepokonane pragnienie, aby jaknajrychlej uciec z tego domu. Serce jej rwało się wprawdzie do tej uroczej postaci, która w tej chwili może z wyżyn już ku nim spływała, ale przejęta grozą położenia czuła, że siły ją opuszczają i że nie zdoła znieść tak potężnego wrażenia. Ach! gdyby można odłożyć to na dni kilka i powrócić tu lepiej przygotowaną!... Zapóźno już jednak było myśleć o wycofaniu się.

Doktor Hull ustawił trzy krzesła na progu drzwi oddzielających salon od ciemnego pokoiku i ręką wskazał gościom miejsca. Drżąc ze wzruszenia, panna Ludington zajęła środkowe krzesło, Paweł usiadł obok niej. Widocznie doktor przygotował trzecie krzesło dla siebie.

Tymczasem podobna do małego dyabełka dziewczynka, którą nazywano Altą, a która zdawała się być córką pani Legrand, usiadła przy fortepianie, stojącym w saloniku.

Gdy wszystko było już gotowem, doktor Hull przyciemnił światło gazu w obu pokojach. Lampa wisząca w pokoiku, przylegającym do salonu, posiadała ruchomą podstawę i rzucała światło na wejście do gabinetu. W półcieniu panującym teraz w obu pokojach, można było jednak odróżnić dokładnie twarz i postać znajomej osoby.

Lampę płonąca w pokoiku osłaniał niebieski klosz, co nadawało oświetleniu jakby czarodziejski pozór.

Gdy doktor Hull usiadł wreszcie na krześle, w pokoju zapanowała tak głęboka cisza, że panna Ludington słyszeć mogła bicie serca Pawła. Nagle drobne paluszki Alty dotknęły klawiszów i w około zabrzmiały tęskne harmonijne akordy, które nasuwały słuchaczom tysiące myśli o smutkach i znikomości życia ludzkiego. Alta nie przestawała grać. Pannie Ludington i Pawłowi zdawało się, że muzyka

ta trwała wiele godzin, chociaż w istocie kilka minut zaledwie upłynęło.

Melodya stawała się coraz słabszą, coraz cichszą, aż wreszcie ucichła. I znów zapanowało milczenie.

Nagle dał się uczuć jakby silniejszy prąd powietrza: na progu gabinetu stanęła postać ślicznej dziewczeczki. Przez chwilę stała nieruchomo, potem zwolna, nieznacznie zaczęła posuwać się naprzód.

Pomimo półświatła, można było odróżnić dokładnie najdrobniejsze rysy jej twarzy. A może wewnętrzny blask jakiś opromieniał ją taką jasnością?

Paweł usłyszał głuchy jęk, wydzierający się z piersi panny Ludington; nie zwrócił się jednak ku niej, nie będąc zdolnym oderwać oczu od tego cudownego zjawiska.

Ida bowiem stanęła przed nim... Ida... postać nie ręką mistrza na płótno przeniesiona, ale życiem drgająca.

Miała na sobie tak jak na portrecie, białą suknię z wyiętym stanikiem; jakże jednak nieudolnemi okazały się usiłowania podjęte przez artystę, w celu oddania kształtów jej kibici i uroku, owiewającego całą postać. Złoto blond włosy, okalając czoło, spadały na olśniewającej białości ramiona. Czarujący uśmiech igrał na jej ustach, gdy z niewypowiedzianym wdziękiem zbliżała się do widzów, zachwytem przejętych.

Najprzód przypatrywała się przez chwilę pannie Ludington, a wyraz miłości malował się na jej twarzy. Następnie przeniosła oczy na Pawła. Spojrzawszy w te cudne fiołkowe oczy, młodzieniec czuł, że dreszcz przechodzi go od stóp do głów.

Teraz stała tak blisko, że mógł jej dotknąć prawie. W głowie mu się mąciło. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, wyciągnął ręce, chcąc ją pochwycić w objęcia, lecz ona spokojnie cofnęła się o kilka kroków.

Nagle dał się znów uczuć silniejszy prąd powietrza: nagle postać przeszła przez pokój zwolna, jak gdyby ule-

gając niechętnie wyższej jakiejś sile, raz jeszcze zwróciła się do nich twarzą i znikła w gabinecie.

Na znak dany przez doktora, Alta znów grać zaczęła, też same tęskne, harmonijne akordy zabrzmiały w pokoju. Tym razem jednak nie grała długo; z gabinetu bowiem ozwał się nagle słaby głos pani Legrand. Przesunawszy się pomiędzy krzesłami, stojącymi na progu, Alta wbiegła do gabinetu i zapuściła portyere osłaniającą wejście.

Tymczasem doktor Hull podkręcił światło gazu w obu pokojach, odsunął krzesło stojące przy drzwiach i obrócił klucz w zamku.

— Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem tak szczęśliwego posiedzenia — mówił. — Widocznie warunki musiały być bardzo sprzyjające. Czy pani jest zadowolona? — dodał, zwracając się do panny Ludington.

Nagle przejście od zupełnej prawie ciemności do olśniewającego światła gazu i od obcowania z duchami do rozmowy z doktorem, przewyższało siły panny Ludington: westchnawszy głucho, ukryła twarz w dłoniach i potok łez tryśnął z jej oczu.

Po chwili Alta wyszła z gabinetu i oznajmiła gościom, że pani Legrand prosi, aby raz jeszcze obejrzelik pokój dokładnie.

Panna Ludington wysłuchiwała tego obojętnie; Paweł zaś, który dotąd błędnym wzrokiem patrzył przed siebie, jak gdyby urocze zjawisko wciąż jeszcze przed nim stało, zerwał się nagle z miejsca i wbiegł do gabinetu. Gorączkowa niecierpliwość, z jaką rozglądał się w okóło, rozczarowanie malujące się na jego twarzy, gdy nie znalazł nikogo oprócz Alty i pani Legrand, zdawałyby się świadczyć, iż posiedzenie to uważał za oszustwo. Tak jednak nie było w istocie. Rozczarowanie jego wynikało z zawiedzionej nadziei: ludził się bowiem, że raz jeszcze ujrzy Idę, podążwszy za nią tam, gdzie znikła mu z oczu.

Podczas gdy Paweł biegał gorączkowo po gabinecie, Alta podawała sole trzeźwiące pani Legrand, leżącej na

kanapie. Nie zważając na rozpacz młodzieńca, powstała wreszcie i wsparta na ramieniu córki, przeszła do sąsiedniego pokoju. Teraz sprawiała ona wrażenie istoty wyczerpanej i omdlewającej z braku sił. Śmiertelna bladość pokrywała jej oblicze, oczy wpadły w głąb i rzucały błędne spojrzenia. Osunąwszy się na fotel, bezwładnie zwiesiła głowę i siedziała tak nieruchomo z nawpół przymkniętymi oczyma.

Doktor Hull ani Alta nie okazywali najmniejszego zdziwienia, widocznie zatem po każdym posiedzeniu zapadać musiała w stan taki.

— Czy pani jest zadowolona?—spytała wreszcie ledwie dosłyszalnym głosem.

Panna Ludington oświadczyła, że rezultat posiedzenia przewyższył najsmielsze jej nadzieje. Doktor Hull zabrał wtedy głos i z niewymownym zapałem jął dowodzić, że dzisiejszy wieczór stanowić będzie nową erę w rozwoju spirytyzmu.

— Już od trzydziestu lat zajmuję się tem specyjalnie—mówił—ale... raz jeszcze powtarzam... nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć równie cudownego posiedzenia. Doznaję zawrotu głowy na samą myśl, jak obszerne pole badań otwiera się teraz przed nami. Duchy naszej przeszłości... Dlaczegożby nie? Podobnie jak wszystkie najważniejsze odkrycia, fakt ten wydaje się bardzo prostym, gdy raz udowodnionym zostanie. Sądzę, że znajdziemy wreszcie wytłomaczenie tego, skąd pochodzą owe tłumy duchów, które przesuwiają się tak często przed oczyma spirytystów oraz tysiące przeczuć i przestroż, na które nikt dotąd nie zwracał uwagi.

Pani Legrand jęknęła boleśnie.

— Czy każde posiedzenie doprowadza ją do takiego osłabienia? — spytała panna Ludington, nie mogąc oprzeć się współczuciu.

— Nie zawsze w jednakowym stopniu — rzekł doktor Hull, odpowiadając za spirytystkę — ale natężenie umysłu, konieczne podczas posiedzenia, oddziaływa na nią bardzo

silnie wtedy zwłaszcza, gdy tak jak dzisiaj wywołuje nowego ducha. Nie potrafiłbym tego pani dokładnie wytłumaczyć; zdaje mi się jednak, że kosztem własnych sił żywotnych spirytyści nadają postać ludzką duchom. Przytem pani Legrand ma wadę serca, skutkiem czego każde posiedzenie naraża ją na niebezpieczeństwo utraty życia. Nietylko ja, ale najznakomitsi lekarze specjaliści ostrzegali ją, że kiedyś może nieobudzić się z omdlenia.

— W jaki sposób tłumaczysz pan sobie oddziaływanie medyum na ducha—spytał Paweł, który dotąd nie przyjmował udziału w rozmowie — skoro pan przypuszczasz, że medyum może zakończyć życie podczas posiedzenia?

— Teoretycznie to tylko przypuszczam—odparł doktor Hull — w praktyce bowiem podobne zdarzenie nigdy nie miało miejsca.

— Możliwem jest jednak?

— Bezwątpienia.

— Czy tracąc postać cielesną, duch zależy od medyum zarówno jak i w chwili, gdy postać takową przyjmuje?—zapytał jeszcze Paweł.

— Rozumiem, do czego pan zmierza—odrzekł doktor. Chodzi panu o to, czy w razie śmierci medyum, duch zostanie nadal w ludzkiej postaci. Co pani o tem sądzi? — dodał, zwracając się do pani Legrand.

— Nie wiem — odrzekła spirytystka, nie podnosząc przymkniętych powiek.—W naszej mocy leży zarówno wywołanie ducha, jak wyzwolenie go z cielesnej powłoki. Zdaje mi się, że gdyby medyum umarło podczas posiedzenia, duch musiałby przezwyciężyć pewne trudności, zanimby mu się udało powrócić do owych krain, z których go wywołano.

— Czy nie możnaby wzbronąć mu powrotu do tych krain? — nalegał Paweł.—Czy śmierć medyum nie zamknęłaby przed nim jedynych podwoi do ojczyzny duchów wiedzącej i nie skazała go na dłuższy pobyt w pośród nas? Więcej jeszcze powiem: czy duch nie przejąłby wtedy w spuściźnie całego zasobu sił żywotnych, których medyum nagle pozba-

wionem zostało? Skoro, jak pan utrzymujesz, wywołanie ducha pociąga za sobą ubytek sił medyum, kto wie, czy w takim razie nie nastąpiłaby niejako wymiana życia.

— Jakto? przypuszczasz, że duch mógłby żyć wtedy na ziemi tak jak my? — ze zdziwieniem spytała panna Ludington.

— Tak—odparł Paweł.—Zdaje mi się, że utraciłby on swe własności ducha i rozpoczął na nowo ziemską wędrówkę, poznając wszystkie rzeczy i osoby, które znał niegdyś podczas pierwszego cielesnego istnienia.

— Doprawdy, po tem co dziś widziałam, nie mogłabym już dziwić się niczemu—wtrąciła panna Ludington.

— I słusznie—odrzekł doktor Hull.—W ogóle, w dziedzinie spirytyzmu nie należy zastanawiać się nad tem, czy dane zjawisko wydaje się cudownem czy nie, należy tylko brać pod uwagę, o ile ono jest prawdopodobnem. Gdyby śmierć medyum nastąpiła nagle, duch utraciłby może zdolność wyzucia się z cielesnej powłoki i prowadziłby znowu życie, naszemu istnieniu podobne. Ale przypuszczenie to nasuwa mi jedną bardzo poważną wątpliwość: nawet taka śmierć, którą pospolicie nazywamy nagłą, nie następuje nigdy natychmiastowo, a przeciąg czasu, wynoszący chociażby ułamkową część sekundy, wystarczyłby na to, aby duch zrzucił z siebie postać cielesną. Dochodzimy zatem do wniosku, że przypuszczenie pańskie, możliwe w teoryi, okazuje się nieprawdopodobnem w praktyce. Zresztą, są to tylko domysły nieoparte na żadnej realnej podstawie, skutkiem czego niepodobna przyznać słuszności ani mojemu ani pańskiemu zdaniu.

— Przyznaję panu słuszność — odrzekł Paweł — było to szalone przypuszczenie.

— Dlaczego pani Legrand nie zaniecha posiedzeń, skoro one grozić mogą jej zdrowiu i życiu? — zapytała panna Ludington.

— Dlatego—odparł doktor Hull—że nam, spirytystom śmierć nie wydaje się tak straszną, jak ludziom, którzy nie

żyli nigdy w bezpośrednim zetknięciu z duchami. Zresztą... jak państwu pewnie wiadomo... pani Legrand uchodzi obecnie za najznakomitszą spirytystkę w Stanach Zjednoczonych i posiada władzę nad tysiącami duchów, których żadne inne medyum wywołać nie potrafi. Skutkiem tego zaciągnęła ona względem świata duchów mnóstwo zobowiązań, wobec których obawa narażenia własnego życia schodzi na drugi plan. Wątpię, aby dzisiejsze na przykład posiedzenie udało się tak pomyślnie innemu medyum.

Gdy panna Ludington i Paweł pożegnali wreszcie panią Legrand, doktor Hull odprowadził ich do powozu i przypomnieć im musiał obowiązek pozostawienia honorarium, należnego za posiedzenie, o czem oboje zapomnieli.

VII.

Nie wiedząc jeszcze o istnieniu pani Legrand, panna Ludington wierzyła niezłomnie, że minione jej „ja“ posiada byt odrębny, niezem z jej istotą niezwiązany; Paweł, który tę wiarę w jej serce zaszczeplił, równie głęboko był o tem przekonany.

Zachodzi jednak olbrzymia różnica pomiędzy najsilniejszą nawet wiarą a przeświadczeniem, jakie daje zjawisko pod zmysły podpadające. Nie dziw więc, że owo cudowne widzenie wywarło na pannę Ludington wrażenie tak potężne, jak gdyby nie była doń przygotowaną.

Oboje milczeli, wracając do domu; dopiero dojeżdżając do wioski, panna Ludington zagadnęła głosem drżącym z przerażenia:

— Jakże dziwnem wydaje mi się to wszystko!

— Dziwnem?—ironicznie zawołał Paweł.— Jak ciocia może wyrażać się w ten sposób? Fakt taki mógłby być dziwnym i niepojętym wtedy tylko, gdybyśmy wierzyli, że po ukończeniu ziemskiej wędrówki, nie mamy prawa spodziewać się życia nieśmiertelnego. Co do mnie, wszystko to wydaje mi się słusznem, naturalnem i logicznem.

— Być może — odrzekła panna Ludington — a jednak gdybym nie pojechała dziś z tobą, lecz pozostała w domu, nie uwierzyłabym nigdy twemu opowiadaniu o tem co widziałeś, podobnie jak jestem przekonana, że nikt mi nie uwierzy. Ach, Pawle! ja ją widziałam!... patrzyłam na nią!... zrozumiałam znaczenie spojrzenia, które ona na mnie rzuciła!... Byłam pewną, że ją poznam; nie śmiałam przecież przypuszczać, że i ona będzie wiedziała, kim ja jestem. Ja pamiętam ją doskonale, ale ona nie widziała mnie nigdy na ziemi.

— Widziała cię, będąc duchem... widziała i mnie także i wie że ją kocham — odrzekł Paweł dziwnie zmienionym głosem.

— Zkąd wynika wniosek — podjęła panna Ludington — że duchy naszych minionych „ja“ kochają nas podobnie jak my je kochamy, że nie tylko z utęsknieniem oczekują chwili wiekuistego połączenia się z nami, ale otaczają nas opieką podczas naszej dalszej wędrówki doczesnej. Gdyby wszyscy o tem wiedzieli, nikt nie czułby się samotnym, ani opuszczonym.

Wróciwszy do domu, Paweł udał się natychmiast do swego pokoju.

Nadmiar szczęścia wprowadził go w stan upojenia; tysiące myśli w chaotycznym nieładzie cisnęło mu się do głowy; noo całą przesiedział przy stole z oczyma nieruchomo przed siebie utkwionemi. Czemże były rozkosze ziemskiej miłości wobec zachwyty, który pierś mu rozsadzał? Czemże był żar najsilniejszych ludzkich namiętności wobec czystego płomienia, który gorzał w jego sercu?

Zatopiony w myślach, młodzieniec usiłował zdać sobie sprawę z ogromu szczęścia, jakim jest miłość istoty duchem tylko będącej, a gorące tchnienie jego uczucia rozwiało zasłonę, ukrywającą wieczność przed oczyma śmiertelników; zniweczyło granice, dzielące zjawiska przyrodzone od nadprzyrodzonych.

Brzask dzienny jaśniał już na niebie, gdy czując się się wreszcie zmęczonym, rzucił się na łóżko, zasnął smacznie i około południa zaledwie zeszedł do jadalnego pokoju, gdzie panna Ludington oczekiwała go z bijącym sercem, pragnąc się upewnić, czy wspomnienie wczorajszego wieczoru nie jest zwodniczym snem tylko.

Tegoż samego dnia Paweł pojechał do Brooklynu, w celu załatwienia niektórych interesów panny Ludington. Ludzie, z którymi miał do czynienia, zdawali mu się jakoby cieniami.

Spełniwszy dane sobie przez ciotkę polecenie, pojechał do New-Yorku i poszedł wprost na ulicę Dziesiątą. Nie miał bynajmniej tego zamiaru, udał się tam bezwiednie prawie, nie mogąc oprzeć się pokusie zbliżenia się do miejsca, w którym ona przebywała przed dołą niespełna. Przez godzinę przeszło chodził tam i napowrót przed domem, w którym mieszkała pani Legrand, następnie przeszedł na drugą stronę ulicy i wpatrywał się długo w okno okienicami zamknięte, nie zdając sobie sprawy, że wzbudza ciekawość licznych przechodniów, a podejrzenie policyanta stojącego na rogu ulicy.

Wreszcie przebiegł ulicę, wszedł na schody i pociągnął za dzwonek. Podobnie jak wczoraj czarnowłosa Alta otworzyła mu drzwi. Paweł zapytał o panią Legrand. Dziewczynka odpowiedziała, że matka czuje się dziś chorą i nikogo nie przyjmuje. Zapytana o doktora odrzekła, że nie ma go w domu.

— Chciałem prosić o posiedzenie—wyjęknął Paweł.

— W takim razie może pan powróci jutro — odrzekła Alta.

Paweł twierdząco skinął głową, ale widocznie ociągał się z odejściem.

— Chciałbym jeszcze zapytać — rzekł po chwili—czy nie ma nikogo w pokoju, w którym wczoraj odbyło się posiedzenie?

— Nie—zapewniła dziewczynka.

— Czy nie mógłbym wejść tam na chwilę, aby raz jeszcze obejrzeć miejsce, w którym duch nam się ukazał? Nie zabawię tam długo.

Pełniąc obowiązki odźwiernej w domu pełnym tylu tajemnic, Alta przywykła widocznie do spotykania różnorodnych dziwaków, stawiających najdziwniejsze żądania. Poprosiła Pawła, aby zaczekał chwilę w przedpokoju, pobiegła do matki a uzyskawszy pozwolenie, zamknęła na klucz drzwi wchodowe i wprowadziła gościa.

Zmrok już zapadał; ciężkie firanki i nawpół przymknięte okienice przepuszczały tak mało światła, że zaledwie można było poznać, czy wszystko stoi na tem samym miejscu co wczoraj. Idąc z takim namaszczeniem, jak pielgrzym zwiedzający Ziemię Świętą, Paweł zbliżył się do miejsca, na którym siedział w chwili, gdy urocze zjawisko ukazało się jego oczom.

Ciemności, cisza panująca w około w połączeniu z rozdrażnieniem nerwowem młodego człowieka sprawiły, że widzenie owo stanęło mu przed oczyma tak dokładnie, że nie był zdolnym odróżnić rzeczywistości od złudzenia. I znów ta postać promienna wysunęła się z za kotary, zasłaniającej wejście do gabinetu i stanęła przed nim. Znów oczy jej spozęły z miłością na jego twarzy; znów zapomniawszy o wszystkim, wyciągnął ku niej ramiona. Nagle Alta krzyknęła z przerażenia i... widzenie znikło.

Zataczając się jak pijany, wyszedł na ulicę, przeświadczony, że ją widział w istocie. Tak! siłą miłości jego wywołana ukazała mu się po raz drugi!

Wróciwszy do domu, słowa o tem nie wspomniał panie Ludington. Odwiedziny te, któremi Ida jego tylko zaszczycała, stały się dlań świętą, najdroższą tajemnicą.

Stosownie do przyrzeczenia danego Alcie, Paweł zjawił się nazajutrz w mieszkaniu pani Legrand. Doktor Hull wyszedł na spotkanie gościa, któremu oświadczył, że stan zdrowia pani Legrand staje na przeszkodzie odbyciu nowego posiedzenia.

— Czy jest ciężko chorą? — z przerażeniem zapytał Paweł.

— Nie dotąd niema groźnego — oświadczył doktor Hull — zwykły rozstrój nerwowy oraz bicie serca, stanowiące wynik podniecenia. Nigdy jednak nie można przewidzieć, jaki obrót przyjmie taka choroba.

— Przepraszam pana za mą śmiałość — dorzucił Paweł — ale chciałbym zapytać, czy pani Legrand jest otoczona opieką lekarską? Jeżeli brak środków pieniężnych stoi temu na przeszkodzie, gotów jestem ponieść wszystkie koszty.

Podziękowawszy za ten dowód troskliwości, doktor Hull zapewnił, że będąc od lat tylu lekarzem pani Legrand, zna dokładnie wszystkie właściwości jej organizmu i nie uważa za potrzebne uciekać się do pomocy kolegów.

— Uważam, że pan interesujesz się bardzo żywo stanem zdrowia pani Legrand — dorzucił tonem zdradzającym zdziwienie.

— Cóż w tem dziwnego? — zapytał Paweł. — Czyż ona nie stoi na straży bramy oddzielającej świat ziemski od krainy duchów, w której przebywa moja ukochana? Niech mnie pan nie uważa za człowieka nikoziemnego, gdy powiem, że zainteresowanie się moje ztąd głównie wypływa, iż śmierć pani Legrand zamknęłaby bezpowrotnie te wrota.

— Nie dziwię się panu bynajmniej — odrzekł doktor Hull — uczucia pańskie są najzupełniej naturalne.

— Czyż to nie jest rzeczą dziwną, niepodobną prawie do zrozumienia — zawołał Paweł, porwany własnym uczuciem — aby słaba, chorobą złamana kobieta była strażniczką podwoi łączących świat ziemski z nieśmiertelnymi duchów ojczyzną?

— Dlaczegoż uważasz to pan za rzecz niepodobną do zrozumienia? — zapytał doktor. — Co do mnie, twierdzę, że fakt ten stanowi doskonałą harmonię z prawami, które rządzą tym światem. Czyż po wszystkie wieki moc wywoływania duchów nie przysługiwała słabym, chorobą złamanym kobietom? To, co świat zowie mianem spirytyzmu, nie jest ani

odrębnem zjawiskiem przyrody, ani też nie podporządkowywa się pewnemu szeregowi zjawisk. Byt wszechświata na spirytyzmie tylko spoczywa. Zresztą, czyż tylko medya mają moc wywoływania duchów? A czemuż jest macierzyństwo? Medyum stawia nam przed oczy ducha, który przyoblókłszy postać cielesną, zrzuca ją po chwili i znów do swej ojczyzny powraca. Każda zaś kobieta, zostając matką, wywołuje z nicności duszę nieśmiertelną, obleka ją w ciało, które porusza się, mówi, pracuje, kocha i nienawidzi przez ciąg kilkunastu lub kilkudziesięciu lat.

— Masz pan słusznosc — dziwnie zmienionym głosem odrzekł Paweł.

Cudowne owo posiedzenie odbyte u pani Legrand, nie oddziało na pannę Ludington równie silnie jak na Pawła, stało się ono dla niej tylko stanowczą rękojmią prawdziwości wierzeń, które dotąd wydawały jej się zbyt szczytne i piękne, aby mogła objąć je słabym umysłem.

Dowiedziawszy się od Pawła, że pani Legrand jest niebezpiecznie chorą i że w razie jej śmierci, Ida nigdy już w widomej postaci nie zstąpi na ziemię, panna Ludington zmartwiła się szczerze. Nie ogarnęła jej przecież bezgraniczna rozpacz, jakiej poddawał się młody człowiek; wiedząc bowiem, że zbliża się już do kresu życia, cieszyła się głównie myślą połączenia z Idą w niebie i obcowania z nią nie przez krótką tylko chwilę, ale przez wieczność całą.

Inne zupełnie były myśli i uczucia Pawła. Czuł się młodym, wiedział, że droga do nieba daleką będzie i nieskończenie smutną, jeżeli wędrówki tej nie osłodzi mu nigdy promienne widzenie ukochanej. Od czasu owego posiedzenia natura uczuć jego dla Idy uległa zmianie. Platoniczne uwielbienie dla pięknego, ale mglistego poniekąd ideału, przerodziło się teraz w namiętnosc, jaką tylko kobieta z krwi i kości wzbudzić może. Paweł myślał o niej teraz nie jak o duchu nieśmiertelnym, lecz jak o pięknej dziewicy, w oczach której gorzał ogień miłości.

Teraz nie był on już zdolnym zachwycić się portretem wiszącym nad kominkiem. Słodki czar tej postaci rozwiął się bezpowrotnie. Uśmiech, który niegdyś wydawał mu się tak pełnym słodyczy, nie wzbudzał w nim już zachwytu. Oczy spoglądające dotąd tak czule, nie miały żadnego wyrazu. Obraz cały stracił wartość swoją, zdawał się zimnym, sztywnym, martwym—słowem niepodobnym do osoby, którą miał przedstawiać. W istocie, wielkie niebezpieczeństwo groziłoby malarzom, gdyby modele ich częściej zstępowały na ziemię.

Gdyby pani Legrand była rodzoną matką Pawła, młody człowiek nie mógłby częściej ją odwiedzać ani interesować się więcej stanem jej zdrowia; nie doznałby też radości żywszej nad tę, która przepęłniła jego serce w dniu, w którym dowiedział się od doktora Hull, że choroba przyjęła szczęśliwy obrót. Doktor dodał jeszcze, że pani Legrand wie o codziennych prawie odwiedzinach Pawła i chociaż jest przekonana, że troskliwość jego nie wynika z uczuć, jakie on względem niej żywi, pragnie jednak w dowód wdzięczności poświęcić mu pierwsze posiedzenie, jakie odbyć będzie mogła. Jeżeli stan jej zdrowia nie pogorszy się, posiedzenie to będzie mogło odbyć się nazajutrz.

VIII.

Z mniejszym wprawdzie niż Paweł zapalem oczekując ponownego widzenia Idy, panna Ludington ucieszyła się jednak szczerze z tej sposobności i z niekłamana radością nazajutrz o dziewiątej wieczór wysiadła z powozu przed bramą domu, w którym mieszkała pani Legrand.

Paweł włożył świąteczny strój, jadąc do spirytystki. „Dlaczegożbym nie miał okazać jej tych względów, któremi obdarzamy zwykle kobiety?”—myślał w duchu. A zresztą—tak zawilemi są bowiem zjawiska w sercu ludzkim zachodzące—kto wie, czy nie kryła się w tem chęć przypodobania się ukochanej strojem swym i urodą?

Wszedłszy do saloniku, zastali tam doktora i panią Legrand. Spirytystka siedziała na fotelu z nawpół zamkniętymi oczyma, a jeżeli dzisiaj nie wyglądała gorzej niż w dzień pierwszego posiedzenia, to dlatego jedynie, że wtedy już podobniejszą była do trupa niż do istoty żyjącej. Zapytana o stan swego zdrowia, odrzekła, że nie czuje się jeszcze dość silną, aby mogła rozpocząć posiedzenia i że dzisiejsze nawet odłożyłaby jeszcze na czas jakiś, gdyby sprawienie gościom zawodu nie było dla niej prawdziwą przykrością. Doktor Hull nalegał usilnie o odłożenie posiedzenia.

— W istocie należy tak uczynić, jeżeli zdrowie pani może na tem ucierpieć—oświadczyła panna Ludington, nie mogąc jednak stłumić uczucia doznanej przykrości. — Nie możemy na to pozwolić, nieprawdaż Pawle?

Paweł ociągał się z odpowiedzią dłużej, niżeli przyzwyczajenie na to pozwalało. Zbrodniarz dręczony wyrzutami sumienia, nie doznaje niepokoju silniejszego nad ten, jaki w tej chwili miotał sercem młodego człowieka. Wolałby on stokroć narazić na szwank zdrowie, a nawet życie pani Legrand, niżeli wyrzec się nadziei ujrzenia Idy. Siłą woli jednak zdołał do pewnego przynajmniej stopnia stłumić to uczucie i wyjął jakąś wymijającą odpowiedź. Ale pani Legrand rzuciła na niego spojrzenie, świadczące wymownie, że przenika głębię jego myśli i odrzekła tonem, nie pozwalającym na dalszą dysputę:

— Posiedzenie musi się odbyć dzisiaj. Życzliwość okazana mi przez was wkłada na mnie pewne zobowiązania, a zresztą nigdy jeszcze nie cofnęłam raz danego słowa. Mam nadzieję, że wysiłek ten nie zaszkodzi mi. Może pan zechce zaprowadzić państwa do gabinetu—dodała zwracając się do doktora.

— Jest to najzupełniej zbytecznem — pośpiesznie zapewnił Paweł.

— Nieraz się zdarza, że przyjaciele nasi pragną uchylić się od obejrzenia gabinetu—rzekł doktor Hull.—Wdzięczni im jesteśmy za ten dowód zaufania, ale powodując się

przezornością, nie odstępujemy nigdy od tego zwyczaju. Kto wie, czy prędzej lub później nie nasuną się jakieś złośliwe przypuszczenia, a wtedy nie moglibyśmy powołać się na świadków, którzyby złożyli przekonujące dowody.

Panna Ludington i Paweł musieli więc obejrzeć gabinet, równie szczegółowo, jak za pierwszym razem. Sprzęt każdy stał na tem samym miejscu. I teraz niepodobna było przypuścić możliwości ukrycia kogokolwiek w gabinecie, lub wprowadzenia go inną drogą, jak drzwiami prowadzącymi do saloniku.

Gdy goście wrócili do salonu, wszystko odbyło się w tymże porządku, jak podczas pierwszego posiedzenia. Podniósłszy się z fotela, pani Legrand chwiejnym krokiem przeszła przez ciemny pokój i znikła w gabinecie. Doktor Hull zamknął i zabarykadował drzwi wiodące do przedpokoju, poczem wręczył klucz Pawłowi. Następnie ustawił trzy krzesła na progu, a gdy goście zajęli wskazane miejsca, przykręcił gaz i usiadł na trzeciem krześle.

Wtedy Alta usiadła do fortepianu i znów zabrzmiały też same ciche, rzewne akordy, które rozlegały się w pokoju podczas pierwszego posiedzenia.

Pannie Ludington zdawało się, że tym razem muzyka trwa znacznie dłużej. Mimowoli ogarniała ją trwoga, że albo posiedzenie nie uda się dzisiaj, albo też pani Legrand przytrafiło się jakie nieszczęście.

A może... umarła! Okropne to przypuszczenie w połączeniu z gorączką oczekiwania, rozstroiło jej nerwy do tego stopnia, że niezawodnie wybuchnęłaby spazmatycznym płaczem, gdyby nagle silniejszy prąd powietrza nie dał się uoczuć w pokoju. W parę sekund potem Ida stanęła we drzwiach od gabinetu i wolnym krokiem weszła do pokoju.

Miała na sobie białą suknię, tak jak poprzednim razem; toczona jak z marmuru ramiona, wychylały się z wyiętego stanika; złoto-blond włosy okalały czoło śnieżnej białości.

Od chwili, w której postać ta urocza wyłoniła się z ciemnego gabinetu, Paweł wpatrywał się w nią z uwielbieniem i zachwytem, którego żadne słowa odmalować nie zdołają.

I nie dziw! Wszak w ciągu tych minut kilku zjawisko to musiało wryć się w jego pamięci tak głęboko, aby stanowić mu mogło osłodeę na dalszą drogę żywota! Trudności, jakie przewyciężyć musiał, aby doprowadzić do skutku powtórne posiedzenie i niepewność uzyskania go kiedykolwiek, wprawiły młodego człowieka w stan niewypowiedzianego niepokoju. Prawdopodobnie nigdy nie ujrzy Idy na tej ziemi, chciał więc zapamiętać wszystkie najdrobniejsze szczegóły jej postaci, aby wspomnienie to stanowiło odtąd treść jego myśli na jawie i marzeń podczas spoczynku.

Gdy tak jak poprzednim razem, stanęła znów przed nim i spojrzała na niego z uśmiechem, Paweł wyciągnął do niej ręce, a sercem jego miotana radość, wobec której myśl i wola padały bezsilne.

Nagle z rozkosznych tych marzeń ocknęła go dziwna zmiana, zaszła w jej postawie. Wyprostowała się i lekki dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Wyraz słodczy, malujący się dotąd w jej spojrzeniu, ustąpił miejsca dziwnej trwodze i przerażeniu.

Zwracała głowę na prawo, to znów na lewo; oczy miała szeroko rozwarte, jak człowiek we śnie idący; z nieopisanem przerażeniem starała się przeniknąć wzrokiem ciemności, panujące w pokoju. Chwilami zbliżała się o kilka kroków do gabinetu, zatrzymywała znowu lub też biegła bez celu wzdłuż i wszerz po pokoju.

W tej chwili ohrapliwe rżenie dało się słyszeć z poza kotary. Doktor Hull zerwał się z miejsca, podkręcił gaz, chcąc rozjaśnić ciemności i wbiegł do gabinetu.

Alta podążyła za nim; panna Ludington i Paweł zwrócili się też w tę stronę.

Światło gazu olśniewało ich teraz tak dalece, że nie prawie przed sobą nie widząc, omackiem torować sobie drogę musieli.

Gdy weszli do gabinetu, okropny widok przedstawił się ich oczom.

Pani Legrand leżała na kanapce z głową na dół zwieszoną. Oczy miała nawpół przymknięte; sine obwódki okrążające powieki, dziwnie teraz odbijały od trupiej bladości pokrywającej jej twarz. Na zsiniałe usta wystąpiła piana.

Alta przypadła do matki, wołając z płaczem:

— Mamo! Mamo! Obudź się! Przemów do mnie!

— Czy ona nieżyje?—spytała panna Ludington trzęsąc się z przerażenia.

— Nie wiem... Zdaje mi się... Ostrzegalem... przepowiadałem, że tak się stanie... Nie chciała mnie słuchać — urywanym głosem mówił doktor Hull, starając się domagać pulsu i rozpinając suknię bezprzytomnej kobiety. Widząc konieczność natychmiastowej pomocy, Paweł rozcierał jej rękę, panna Ludington spryskiwała jej twarz wodą z lodem, stojącą w dzbanku w rogu gabinetu, doktor zaś usiłował bezskutecznie rozchylić zaciśnięte zęby i wlać jej w usta parę kropel płynu z małej flaszeczki.

— Na nic się to nie zda!—rzekł wreszcie — nie ma żadnego ratunku. Nie żyje już!

Panna Ludington i Paweł odskoczyli z przerażeniem. Alta rzuciła się na zwłoki matki i wybuchnąwszy głośnym płaczem:

— Cóż się teraz stanie ze mną?—wołała.

— Czy pani Legrand nie miała rodziny lub przyjaciół?—spytała panna Ludington, wyrzucając sobie w głębi serca, że stała się poniekąd sprawczynią tego tragicznego zdarzenia.

— I owszem—odrzekł doktor Hull—przyjaciele jej nie pozostawią Alty bez opieki.

Widząc swą nieudolność, panna Ludington i Paweł odwrócili się od martwych zwłok, widok których grozą ich przejmował i wrócili do pokoiku, leżącego tuż po za salonem. Odrętwiali niemal z przerażenia, zapomnieli na chwilę oboje o zjawisku, które ukazało się ich oczom podczas posiedzenia,

przerwanego w tak okrutny sposób. Teraz dopiero przypomnieli sobie, że przy świetle gazu postać pięknej dziewczyny rozplynęła się niejako w powietrzu w chwili, gdy zaniepokojeni podążyli za doktorem do gabinetu.

Jakież było ich zdziwienie, gdy wyszedłszy z gabinetu ujrzeli młodą, śliczną dziewczeczkę kryjącą się nieśmiało w najdalszym kącie pokoju! Niepodobne do opisanego zdumienie malowało się na jej twarzy i w całej postawie.

Ida to była! Ida—ale jakże zmieniona i przekształcona! Niepodobna już była do bladego ducha, który na minut kilka dzięki panującej wokoło ciemności, przybierał na siebie postać ludzką! O nie! w tej chwili stała się ona istotną, prawdziwą córą ziemi. Piers jej podnosiła się ciężkim oddechem, a w oczach zamiast niczem niezamąconej pogody ducha malował się niepokój młodej, niedoświadczonej istoty, która pojąć nie może, co się z nią dzieje.

Gdy panna Ludington i Paweł wyszli z gabinetu, rzuciła na nich pytające spojrzenie. W tej chwili patrzyła na nich jak na ludzi obcych, zupełnie sobie nieznanych. Po długim milczeniu przemówiła wreszcie a dźwięczny, srebrzysty jej głosik drżał trwogą i zdziwieniem.

— Gdzież ja się znajduję? — spytała.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, panna Ludington i Paweł zaczęli wreszcie pojmować znaczenie tego, na co teraz własnymi oczyma patrzyli.

Cudowna owa zamiana sił, o możliwości której rozmawiali podczas poprzedniego posiedzenia, nie śmiejąc potem myśleć o niej nawet, nastąpiła teraz w rzeczywistości. Doktor Hull mylił się a Paweł miał słuszość. Skutkiem nagłej śmierci spirytystki, duch przez nią wywołany przejął w spuściznie jej siły żywotne i stał się istotą z krwi i kości, podobną wszystkim śmiertelnikom.

Teraz już nie duch Idy stał przed nimi... duch, który dzięki nadprzyrodzonemu darowi jasnowidzenia, spoglądał na nich jak na znajome sobie istoty... teraz była to Ida Ludington, której ciekawe badające spojrzenie zdradzało nie-

świadomość spraw i osób, których znać nie mogło dziewczę, uczęszczające do szkoły w Hiltonie przed czterdziestu pięciu laty.

Zapanowawszy wreszcie nad zdziwieniem i stłumiwszy radosne bicie serca, pojęli oni wreszcie przyczyny owego cudu, mocą którego Ida odzyskała postać ludzką w chwili, gdy zdawało się, że bezpowrotnie zniknie im z oczu. Ale jakże teraz przemówić do niej mieli, dać się jej poznać, lub nawet odpowiedzieć na zadane przez nią pytanie w sposób taki, by nie spotęgować jej przerażenia wyjawieniem nowych a grozą przejmujących tajemnic?

W milczeniu stali oboje, nie znajdując słów dla wyrażenia myśli cisnących im się do głowy; doktor Hull, zwabiony dźwiękiem nieznanego sobie głosu, wyszedł z gabinetu. Ujrawszy Idę, cofnął się zdumiony i szepnął sam do siebie: „Nie przypuściłbym nigdy, aby to było możliwem!”

Następnie położywszy rękę na ramieniu Pawła, powiedział z nietajonem wzruszeniem:

— Miałeś pan słuszność. Przewidywania pańskie ziściły się w zupełności. Ale co my jej teraz powiemy?

Tymczasem Ida, widząc tyle oczu patrzących na nią ze zdumieniem, oprzytomniała trochę z podziwu,

— Czy nie zechciałby pan wytłomaczyć mi, gdzie jestem i z kim mam do czynienia?—spytała, zwracając się do doktora Hull.

Teraz nastąpiły nieskończenie długie wyjaśnienia. Panna Ludington, doktor i Paweł starali się na wyścigi wywodzić tysiące argumentów i rozumowań, mających wytłomaczyć Idzie skutkiem jakich warunków została nagle powołana do rozpoczęcia znowu życia ziemskiego.

Ida słuchała oierpliwie, nic zgoła nie rozumiejąc. Wi doczna życzliwość otaczających ją osób rozproszyła wprawdzie jej obawy, ale ciekawość jej i zdziwienie wzmagało się z każdą chwilą. Długo patrzyła na mówiących, starając się skupić myśli i przeniknąć znaczenie ich słów, wreszcie smutnie wstrząsnęła głową.

— Muszę być bardzo ograniczoną—rzekła, przesuwając ręką po czole — pomimo najlepszych chęci nie mogę tego zrozumieć.

— Nie jest to fakt łatwy do zrozumienia—odrzekł doktor Hull. — Z biegiem czasu dopiero wszystko to się wyjaśni. Tymczasem niech pani wejdzie do tego pokoju i spojrzysz na martwe oiało kobiety, po której odziedziczyłaś pani siłę powrotu do życia. Może teraz uwierzysz nam chociaż zrozumieć nie możesz.

I mówiąc to, doprowadził ją do drzwi gabinetu.

Rzuciwszy wzrokiem na kanapkę, Ida odskoczyła z okrzykiem przerażenia. Widząc, że śmiertelna trwoga maluje się na obliczu dziewczęcia, panna Ludington podeszła do niej, chcąc ją pocieszyć i uspokoić. Rozrzewniona serdecznością nieznaną sobie kobiety, Ida oparła głowę na ramieniu panny Ludington i wybuchnęła głośnym płaczem.

Złociste pukle jej włosów oraz różowe lica stanowiły uderzającą sprzeczność z siwymi włosami panny Ludington i z twarzą jej żółkłą, zwiędniętą, zmarszczkami pooraną.

Chociaż Pawłowi zdawało się dotąd, że zdaje sobie dokładnie sprawę z różnicy zachodzącej między osobami, które kolejno składają daną jednostkę, teraz jednak oddech zamierał mu w piersiach, gdy patrzył na ową grupę, która wydawała się uosobieniem młodości i starości, gdy myślał o dziwnej łączności, istniejącej między obu temi kobietami.

Ida, podniósłszy wreszcie głowę, rzekła:

— Być może, że tak jest w istocie, jak powiadasz. Dotąd nie jeszcze nie rozumiem, nie mogę zebrać myśli. Później może będę w stanie zdania sobie z tego sprawy.

— Gdybyś chciała pojechać ze mną do domu—odrzekła panna Ludington — zdaje mi się, że jeszcze przed udaniem się na spoczynek potrafiłabym wytłomaczyć ci, jakim jest nasz wzajemny stosunek. Jedź ze mną!

— I owszem!—zawołało dziewczę. — Chciałabym jak najprędzej oddalić się ztąd — dodała, spoglądając z przerażeniem na drzwi od gabinetu.

W parę minut potem wyszli z domu, w którym śmierć teraz gościła i powóz uniósł ich szybko do siedziby panny Ludington.

Przed wyjazdem panna Ludington zwróciła się do doktora z prośbą, aby zechciał czynić na jej koszt wszystkie wydatki, jakie pociągnie za sobą pogrzeb pani Legrand oraz zapewnienie Alcie troskliwej opieki. Podziękowawszy jej serdecznie, doktor Hull nie przyjął jednak propozycyi, twierdząc, że pani Legrand ma dość zamożną rodzinę, która nie uchyli się od spełnienia tego obowiązku. Żegnając gości, doktor prosił o pozwolenie odwiedzenia ich wkrótce, gdyż losy istoty, pwrót której na ziemię stanowił niejako dalszy ciąg życia jego przyjaciółki, interesowały go żywo.

Mimochodem zaznaczyó tu muszę szczegóół nader charakterystyczny: żegnając się z Altą, panna Ludington nie była zdolną znaleźć słowa pociechy dla osieroczonego dziewczęcia. Przejęta radością na widok Idy, nie mogła udać nawet pozornego smutku, chociaż tragiczne zdarzenie, któremu Ida zawdzięczała powrót do życia, wywarło na nią bardzo silne wrażenie. Paweł zaś milczał jak grób.

Ogłuszający turkot kół toczących się po bruku, tłamał w zupełności, jak trudną było rzeczą prowadzenie rozmowy w powozie, wtedy nawet, gdy tak niezwykły zbieg okoliczności dostarczał obfitego materiału do gawędy. Ilekroć światło latarni rzęśniało głąb powozu, Paweł widział, że na obliczu Idy maluje się wyraz bezgranicznego zdziwienia, jaki twarz jej przybrała od chwili, gdy ujrawszy niezwyłą kobietę w gabinecie, zrozumiała, że od tych dwojga nieznanych ludzi oczekiwać musiała bliższego wyjaśnienia.

Ale gdy powóz wjechał wreszcie w obręb posiadłości panny Ludington, uderzająca zmiana zaszła w zachowaniu się Idy. Z radosnym okrzykiem wychyliła się z powozu, poczem zwracając się kolejno do swych towarzyszy, pytała ze zdziwieniem:

— Ach! wszak to Hilton!... Przywieźliście mnie do domu!... A to nasz dom, nieprawdaż?

Gdy konie stanęły przed gankiem, Ida wyskoczyła z powozu i pobiegła ku drzwiom wchodowym. Pragnąc być świadkiem jej zdziwienia, Paweł uprzedził ją, otworzył drzwi i puściwszy przodem ukochanego gościa, wszedł za nią do sieni z panną Ludington.

W sieni, w salonie i w jadalnym pokoju paliły się do-
tąd lampy, choć wszyscy domownicy udali się już na spo-
czynek. Ida przebiegła wszystkie pokoje pewnym krokiem
istoty, która znając dokładnie miejscowość, nie potrzebuje
przewodnika.

Gdy panna Ludington i Paweł weszli do salonu, Ida
stała pogrążona w zadumie przed własnym portretem.

— Zkąd pochodzi ten obraz? — spytała. — O ile pamię-
tam, żaden artysta nie malował mnie nigdy.

Przez długą chwilę nikt nie odpowiedział na to pyta-
nie, bo panna Ludington i Paweł z niewypowiedzianym za-
chwytem porównywali malowidło z oryginałem. Pomimo
znakomicie uchwyconego podobieństwa, niepodobna było
się dziwić, że Paweł zobaczywszy Idę znajdował, iż portret
jest martwym, sztywnym i życia pozbawionym.

— W istocie — odrzekła wreszcie panna Ludington —
nie pozowałam nigdy żadnemu artyście. Portret ten zrobiono
w wiele, w wiele lat potem jak... jak zniknęłam nam z oczu.
Oto wzór, którym posiłkował się malarz — dodała, zdejmując
z szyi i podając Idzie medalionik, zawierający miniaturę na
kości słoniowej malowaną.

— To moja miniatura! — zawołała Ida. — Jakim sposo-
bem znajduje się ona w posiadaniu pani? Zaczynam przy-
puszczać, że coś dziwnego musiało dzieć się ze mną... Czy-
żem ja umarła?... Dlaczegoż nikt nie chce mi wytłomaczyć
co to wszystko znaczy?

Wyraz zdziwienia, który znikł z jej twarzy, odkąd
poznała wioskę rodzinną, malował się znów w jej spojrzeniu
a w głosie przebijała bolesna skarga, która znajdowała od-
dźwięk w sercach słuchaczy.

Od chwili wyjazdu z New Yorku, Paweł rozmyślał nieustannie, w jakiby sposób przedstawić jej zrozumiałe łączność zachodzącą między nią a panną Ludington; widocznie bowiem zawile objaśnienia udzielone w mieszkaniu spirytystki nie przyniosły żadnego owocu. Należało uczynić to bezzwłocznie, chcąc raz wreszcie położyć koniec przykremu zakłopotaniu, które zarówno jej jak im obojgu ciążyło.

— Postaram się wytłomaczyć to — rzekł — jeżeli pani zechcesz wysłuchać mnie cierpliwie. Przed chwilą wyraziłaś pani przypuszczenie, że coś dziwnego działo się z tobą. Wytłomaczenie dziwnych zjawisk musi być nieco zawikłanem, chociaż z pewnym wysiłkiem myśli zrozumieć je można.

Ida utkwiała w twarzy młodego człowieka takie spojrzenie, jak gdyby życie jej całe od jego słów zawisło.

— Czy sięgając pamięcią w przeszłość — zapytał Paweł — przypominasz sobie pani, że byłaś niegdyś dziewięcio- lub dziesięcioletnią dziewczynką?

— O tak! — odrzekła Ida — pamiętam doskonale te lata.

— Obecnie jesteś pani młodą kobietą. Cóż się stać mogło z tem dzieckiem, które pani tak żywo sobie przypominasz?

— Jakto? — ze zdziwieniem spytała Ida — przecież ja niem jestem.

— Ależ pani nie jesteś do niej podobną ani powierzchownością, ani postępowaniem swoim, ani myślami i uczuciami. Pani i ona to dwie różne osoby.

— Cóż się więc z nią stało?

— O! niebrak miejsca w przestrzeni! — zawołał Paweł. Świat jest bardzo obszernym! Niech pani wyobrazi sobie teraz, że dziecko to odosobniło się niejako i stawszy się duchem pozyskało żywot nieśmiertelny... czyli mówiąc innemi słowy, że ono umarło takim, jakim było, to jest z uczuciami, myślami i wrażeniami dziecka. Czy pani potrafi wyobrazić to sobie?

— Zdaje mi się—nieśmiało odrzekła Ida.

— Następnie proszę wyobrazić sobie, że pani myślisz wciąż z miłością o tem dziecku i wiedząc, że ono jest duchem tęsknisz doń jednak i pragniesz je ujrzeć choć na chwilę. Wreszcie nie mogąc znieść dłużej tęsknoty, udajesz się pani do kobiety, która posiadając cudowną moc przywracania duchom cielesnej postaci, ukazuje pani to dziecię, będące minionem „ja“ z epoki dzieciństwa pani. Niech pani wyobrazi sobie wreszcie, że spirytystka umiera podczas posiedzenia, a wszystkie jej siły żywotne przechodzą w spadku na to dziecię, które odtąd przestaje być duchem i znów do życia powraca. Nie ulega wątpliwości, że dziecko to patrząc na panią nie wie, z kim ma do czynienia: nie może bowiem znać istoty, która później od niego wstąpiła w życie. Zabierasz pani to dziecię do domu...

— Co pan chcesz powiedzieć?—przerwała Ida, patrząc na niego z osłupieniem.

— Jesteś pani względem tu obecnej kobiety — odrzekł Paweł, wskazując na pannę Ludington—tem, czem to dziecko byłoby względem pani. Pomiedzy nią a panią zachodzi taka sama łączność, jaka zachodziłaby pomiedzy panią a tą dziesięcioletnią dziewczynką. Kobieta ta zna i kocha panią tak, jak pani znałabyś i kochałabyś to dziecko. Ponieważ ogólnie przyjęty zwyczaj nadaje każdej jednostce ludzkiej jedno tylko nazwisko, przeto obie nosicie miano Idy Ludington, co nie przeszkadza, że niepodobna uważać was za jedną istotę.

Teraz dopiero Ida zrozumiała istotny stan rzeczy, o czem świadczyło wymowne spojrzenie, jakie rzuciła na pannę Ludington. W spojrzeniu tem malowało się tysiące najsprzecznějších uczuć: wdzięczność, obawa, niepokój, niedowierzenie a nawet gniew siłą woli tłumiony.

Takiem zapewne spojrzeniem obrzuciłaby matkę swą kobieta, która niemowlęciem będąc wykradziona z kołyski i w pośród obcych wychowana, patrzy ze zdziwieniem na istotę, roszczącą sobie do niej prawa macierzyńskie. Ta tyl-

ko zachodziła różnica, że Ida wiedzieć nawet nie mogła o istnieniu panny Ludington i że łączność zachodząca pomiędzy nimi stokroć była ściślejszą od wszelakich węzłów pokrewieństwa.

— Czy pani zrozumiała teraz? — zapytał Paweł.

— Tak... zdaje mi się.. przypuszczam... A jednak to wszystko wydaje mi się bardzo dziwnem — urywanym głosem mówiła Ida, nie mogąc oderwać oczu od panny Ludington

Oblicze starej panny promieniało serdecznem uczuciem, którego okazać jednak nie śmiała, lękając się zbyt silnego wrażenia dla Idy i tak już zdumionej swem położeniem.

— Wierzę, że wszystko co usłyszałaś, musi ci się wydawać nadzwyczaj dziwnem — odrzekła łagodnie. — A ja na żadnego świadka powołać się nie mogę i choć obraz twój żywo mi tkwi w pamięci, pojmuję, że mnie nie poznajesz ani nawet instynktownie nie odgadujesz kim ja jestem. Masz najzupełniejsze prawo żądać odemnie dowodów, czy istotnie jestem także Idą Ludington, późniejszem „ja“ twej młodości. Uspokój się, najdroższa. Postaram się przekonać cię o tem.

I wzięwszy Idę za rękę, zaprowadziła ją do biurka, stojącego w rogu pokoju i otworzyła jedną z szuflad kluczem, z którym nie rozstawa się nigdy ani na chwilę.

Paweł przywykł od lat dziecińczych, że panna Ludington w każdą niedzielę po obiedzie otwiera tę szufladkę i rzewnemi łzami oblewała zawarte w niej pamiątki.

Drżącemi ze wzruszenia rękoma wyjęła paczkę listów, kawałek wyblakłej wstążeczki, bukietik zasuszonych kwiatów oraz parę innych drobiazgów i położyła je przed Idą.

Paweł oichaczem wysunął się z pokoju, znajdując, że podczas tej sceny obecność trzeciej — a właściwie drugiej — osoby była najzupełniej zbyteczną. Gdy w godzinę później wrócił do salonu, panna Ludington siedziała na krześle śmiejąc się i płacząc zarazem; Ida zaś klęczała u jej stóp, okrywając jej twarz i ręce gorącemi pocałunkami.

Krótką noc letnia minęła niepostrzeżenie a pierwsze brzaski jutrenki zazierając do okien świadczyły, że świtać już zaczyna.

— Od jutra zajmiesz znowu swoją sypialnię — powiedziała panna Ludington. Na twarz jej wystąpiły teraz ogniście rumieńce, drżący, chrypliwy jej głos zdradzał silne wzruszenie. — Wybacz mi łaskawie, Ido, że poustawiałam tam mnóstwo swoich gratów. Uprzątnę je jutro. Nie spodziewałam się twego powrotu. Myślałam, że to ja raczej pójdę kiedyś do ciebie.

— Ja i ty... ty i ja! — z wolna wymówiła Ida, jak gdyby teraz dopiero pojmując dokładnie znaczenie tych wyrazów. Nagle niewypowiedziane przerażenie odbiło się w jej spojrzeniu, konwulsyjny dreszcz wstrząsnął jej ciałem i zawołała: — Boże! jakże to wszystko jest dziwnem!

— Nie wątpisz przecie, że mówimy prawdę? Wszak wierzysz nam, Ido? — z niepokojem pytała panna Ludington.

— Tak! tak! — odrzekła Ida, usiłując zapanować nad sobą. — Nie chcę, nie mogę wątpić dłużej! — i zarzuciwszy ręce na szyję panny Ludington, tuliła się do niej z miłością.

W parę minut potem, obie udały się na górę. Poprzedzając swą towarzyszkę, Ida wbiegła na schody, przeszła długi korytarz i minawszy kilkoro drzwi zmierzała wprost do sypialni, stanowiącej wspólną własność obu kobiet. Panna Ludington podążała za nią ze zdziwieniem.

— Doprawdy — rzekła wreszcie, wybuchając spazmatycznym śmiechem — nie mogę ochłonąć ze zdziwienia widząc, że każdy zakątek tego domu jest ci tak dobrze znany a jednak pojmuję, że nie powinnabym temu się dziwić.

— W istocie, dziwnemby było, gdybym nie poznawała domu rodzinnego — odparła Ida, rozglądając się w około. — A jednak zdaje mi się, że jestem tu gościem tylko.

— Nie jesteś gościem — pośpiesznie zapewniła panna Ludington widząc, że szalona trwoga maluje się znów w oczach dziewczęcia. — Jesteś panią tego domu. Oboje z Pawłem przyrzekamy służyć ci wiernie.

W potocznej mowie mianem sennych marzeń określamy zazwyczaj przejście od prozaicznej i poziomej rzeczywistości do krainy fantastycznych widziadeł; bez przesady jednak powiedzieć można, że najcudowniejsze nawet sny, przesuwane się w umysłach panny Ludington, Idy i Pawła, którzy udali się na spoczynek, gdy słońce jaśniało już na niebie, a śpiew ptasząt rozbrzmiewał w około — nie dorównywały zdarzeniom, zaszłym na jawie poprzedniego wieczoru.

IX.

Nazajutrz Paweł zszedł na dół wcześniej od Idy i od panny Ludington. Pragnąc zostać sam na sam z myślami swemi, usiadł na werendzie, do której oszklone drzwi prowadziły z saloniku, gdy nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk i służąca, sprzątająca salonik wbiegła na werendę blada jak trup.

— Co ci się stało, Heleno?—zapytał.

— Widziałam upiora — wołała Helena.— Stanęłam na krześle, aby okurzyć portret, wiszący nad kominkiem i nagle obejrzawszy się, zobaczyłam na progu tę panią z portretu, która stała uśmiechając się do mnie. Na ten widok krzyknęłam z przestachu i uciekłam.

Tymczasem Ida ukazała się na werendzie. Spostrzegłszy ją, Helena schroniła się za plecy Pawła i szepnęła:

— Niech pan spojrzy, teraz znów idzie tutaj.

Ale gdy Paweł nie okazał trwogi na widok „upiora“, lecz przeciwnie, powitał serdecznie nowoprzybyłą, twarz Heleny przybrała wyraz tak komicznego zdziwienia, że Ida uśmiechnęła się mimowoli a Paweł wybuchnął głośnym śmiechem.

— To nie upiór, Heleno—rzekł młody człowiek.— Jest to krewna twojej pani, panna Ida Ludington, która wczoraj wieczór przyjechała do nas w odwiedziny.

— Niech panienka nie gniewa się na mnie, że ją wzięłam za upiora—wyjąkała zakłopotana służąca—ale nie wiedziałam, że moja pani ma gości, a zresztą panienka jest podobna jak dwie krople wody do tego obrazu — i jednym tohem wypowiedziawszy to usprawiedliwienie, Helena pobięła do kuchni, aby podzielić się z koleżankami swoją obawą i zdziwieniem.

Ida zdawała się być znacznie spokojniejszą, niż poprzedniego wieczoru. Zachowanie się jej i postawa nie zdradzały już tak silnego wzburzenia.

— Czy pani dobrze spała? — zapytał Paweł. — Przypuszczam, że musiała mieć pani bardzo dziwne sny.

— Nic mi się nie śniło, bo spałam kamiennym snem—odparła.—Dziś rano jednak gdy obudziwszy się spostrzegłam w około tak dobrze znane sprzęty, też same książki, obrazy, meble, które niegdyś stały w mym pokoju, siedziałam długo na łóżku, nie mogąc skupić myśli i zdać sobie sprawy z tego, co się ze mną działo. Przypominałam sobie wczorajsze słowa pańskie, ale znaczenia ich zrozumieć nie mogłam. A gdy stanąwszy przy oknie, poznałam kościół, szkołę i wszystkie domy, do których dzieckiem będąc biegałam, przez długą chwilę uwierzyć nie mogłam, że znajduję się w Hiltonie i że to wszystko nie jest snem tylko.

Mówiła powoli, zastanawiając się widocznie nad znaczeniem każdego wyrazu, a spokój jej i pogodzenie się z losem wywierały na Pawła stokroć silniejsze wrażenie, aniżeli widok jej wzburzenia i niepokoju.

W tejże chwili panna Ludington ukazała się na werandzie, blada, wzruszona, z wyrazem śmiertelnej trwogi. Spostrzegłszy Idę, uspokoiła się natychmiast i uśmiechnęła wesole. Przez całą noc oka zamknąć nie mogła, dręczona obawą, że zjawiwszy się tak tajemniczo Ida również tajemniczo zniknąć może. Nad ranem dopiero sen skleił jej powieki. Obudziwszy się, pobięła do pokoju Idy, a nie zastawszy tam nikogo, zeszła na dół niepokojem przejęta.

Dowiedziawszy się o pomyłce Heleny — jeżeli w gruncie rzeczy była to pomyłka — panna Ludington natychmiast po śniadaniu zaprowadziła Idę do sypialni, aby zdjęła białą suknię, zrobioną krojem, będącym w modzie przed pięćdziesięciu laty i włożyła jedną z jej sukien, dopóki nie wprowadzono z miasta nowych ubrań.

Jedna jeszcze okoliczność sprawiała, że zmiana stroju była nietylko pożądaną, ale nawet konieczną. Suknia Idy zrobiona z materiału, który na pozór nie różnił się niczem od innych materiałów, zaczęła nagle pękać w dziwny sposób. Widocznie tkanina musiała być bardzo nietrwałą lub zleżałą. Przy lada dotknięciu materiał rozdzierał się wzdłuż i rozpadał w proch. Widocznem było, że biała ta szata nie mogłaby już służyć ani dnia dłużej.

Panna Ludington pożyczyła Idzie jedną z dawniejszych swych sukien, która leżała jak ulana na pełnej kibici dziewczęcia.

Ponieważ panna Ludington przez całe życie nie nosiła kolorowych sukien, musiała przeto ubrać Idę czarno a żalobny ten kolor uwydatnił jeszcze przejrzystość cery dziewczęcia i złociste połyski jej włosów.

Przez resztę dnia Paweł był zostawiony sam sobie, gdyż obie panie zamknęły się w jednym z górnych pokoi, w którym panna Ludington posiadała zbiór różnorodnych pamiątek, pochodzących z różnych epok jej życia.

— Chodź ze mną — rzekła do Idy — muszę cię zapoznać z resztą rodziny. Przedstawię ci wszystkie Idy Ludington, które po tobie a przedemną nosiły to imię.

Panna Ludington była jedynaczką, skutkiem czego ubrania jej, książki i zabawki nie przechodziły w spadku na młodsze rodzeństwo i nie ulegały zniszczeniu. Przez całe życie zbierała je ona starannie i utworzyła tym sposobem bardzo bogatą i liczną kolekcję, w której między innymi rzeczami znajdowało się mnóstwo sukien, począwszy od króciutkich dzieciennych sukienek, aż do modnego kostyumu sprawionego w poprzednim roku. Ale po okresie młodości,

którego Ida była uosobieniem, ilość tych pamiątek zmniejszała się stopniowo, składając się li tylko z kilku gładkich sukien i ze znacznej ilości fotografii, których po dwie padało na rok. Z ostatnich trzydziestu siedmiu lat było ogółem pięćdziesiąt fotografii, które rozpoczynały się od dagerotypu, przedstawiającego pannę Ludington w dwudziestym siódmym roku życia, a kończyły na fotografii robionej w bieżącym miesiącu. Porównawszy oba te wizerunki, niepodobna było poznać na pierwszy rzut oka, że przedstawiają one tęż samą osobę.

Panna Ludington z niezmordowaną cierpliwością i z wielkiem zajęciem śledziła kolejno wszystkie zmiany, jakie w tym przeciągu czasu zachodziły z każdym rokiem w jej powierzchowności. Każda bowiem z tych twarzy, posiadająca pewne cechy odrębne, różniła się mniej lub więcej od fizyonomij osób, które ją poprzedzały, lub też w późniejszym czasie wstąpiły w życie.

Podczas gdy obie kobiety pochylały się kolejno nad tą lub ową fotografią, panna Ludington opowiadała Idzie różne szczegóły z ich życia.

— W gruncie rzeczy, niewiele mam ci o nich do powiedzenia — mówiła. — Wiodły one bardzo ciche i samotne życie, które dla nikogo oprócz nas, nie mogłoby być ciekawem. Ubierały się zawsze czarno, uśmiech nigdy prawie nie rozweselał ich twarzy, myśl o tobie była dla nich źródłem największej boleści, lecz zarazem jedynej pociechy. Wyobraź sobie bowiem, że wszystkie one wierzyły głęboko, że ty umarłaś śmiercią, z której po skończeniu wieków nawet nie ma zmartwychpowstania. Ta dopiero — dodała, wskazując na fotografię, przedstawiającą osobę trzydziesto- pięcioletnią — powzięła to przypuszczenie, które obecnie stało się we mnie wiarą niczem niezachwianą. Powinnabyś ją kochać za to. Po tobie jest ona najdroższa memu sercu. Ona to, nie mogąc znieść dłużej pobytu w starym Hiltonie, drzeniosła się tutaj i zbudowała nowy ten Hilton, w którym życie upływa spokojniej i szczęśliwiej, aniżeli w dawnej

siedzicie naszych ojców. Ona też kazała zrobić twój portret wiszący w saloniku.

Ida wyjęła teraz z albumu fotografię, robioną w dwudziestym szóstym lub siódmym roku życia panny Ludington.

— Opowiedz mi oo o niej — prosiła. — Jakaż to była osoba?

Rzuciwszy okiem na tę fotografię, panna Ludington zarumieniła się żywo i przez długą chwilę milczała zakłopotana.

Widząc jej zmieszanie, Ida dorzuciła łagodnie:

— Dajmy temu pokój, skoro wspomnienia te sprawiają ci przykrość. Nie chcę nic wiedzieć.

— Powiem ci wszystko—stanowozym głosem odrzekła panna Ludington.— Masz najzupełniejsze prawo pytać mnie o to. Ona nie będzie mogła żywić do mnie urazy za to, że zdradziłam przed tobą jej tajemnicę. Nie potępiaj jej, gdy się dowiesz, że serce jej pałało ziemską miłością. Uczucie to było naturalnem następstwem zwątpienia i przesytu, jakie ją ogarnęło gdy spostrzegła, że wszystkie rozkosze młodości minęły, nie natomiast nie zostawiwszy. W owej epoce nie posiadała ona jeszcze wewnętrznego spokoju, nie pogodziła się z losem i z tem życiem osamotnionem, pozbawionem wszystkiego, co w sercu ludzkim budzi tęsknotę. Gdy byś mogła równie dobrze jak ja uprzytomnić sobie całą gorzoc jej życia, przebaczyłabyś jej wszystkie przewinienia.

I spuściwszy oczy ku ziemi, z rumieńcem wstydu na licach, panna Ludington opowiedziała długą historję, która sprawiłaby zawód każdemu kto sądził, że poprzednie jej słowa stanowią przedwstęp do sensacyjnej opowieści. Czy niało to zwierzenie, panna Ludington składała tem samem wymowny dowód, że poczuwa się do solidarności z osobami, które kiedykolwiek stanowiły jej „ja“. Niemalęj też doznała pociechy, gdy Ida, wysłuchawszy cierpliwie opowiadania, oświadczyła, że nieszczęśliwa ta istota wzbudza w niej serdeczną życzliwość.

— O ile mi się zdaje — mówiła dalej panna Ludington — każdy z nas, przechodząc myślą dzieje swoich „ja“, żywi ku jednym niechęć a nawet pogardę, ku innym zaś prawdziwą sympatyę. Co do mnie, muszę wyznać, że współczuję szczerze niedoli opuszczonej tej istoty. Ale za to nie mogę patrzeć bez przykrości na te, które były zuchwałe, wyniosłe i nie posiadały słodyczy serca — to mówiąc, wskazała na jedną z fotografii. — Czy to wypada jednak — dodała z uśmiechem — abyśmy obie wydawały sąd o reszcie rodziny? Gdyby one zjawić się tu mogły, prawdopodobnie potrafiłyby się usprawiedliwić i uczyniłyby mi niejeden zarzut. Tobą zachwycalyby się wszystkie, jesteś bowiem naszą dumą i przedmiotem naszej miłości.

— Bądź co bądź — podjęła znów po chwili milczenia — przyznać muszę, że stanowimy wzorową rodzinę. Wszystkie Idy Ludington postępowały bez zarzutu, będąc dziećmi, starszemi dziewczętami i dorosłemi kobietami i kiedyś jako ozio-godne matrony połączą się w niebie. W krainie duchów, gdzie się kiedyś spotkamy, nie znajdzie się między nami zarażonej owieczki i nie będziemy potrzebowały wstydzic się za żadną z nas. Nie widzę powodu, dla którego by i tam nie istniały żywsze sympatyę i nie tworzyły się pokrewieństwa z wyboru. Co do mnie, oprócz ciebie, chciałabym widzieć jeszcze ową osierocooną kobietę, o której ci przed chwilą opowiadałam oraz tę Idę Ludington, która zbudowała nowy Hilton.

— Teraz więc — ozwała się znowu, ukończywszy przegląd fotografii — zapoznałam cię ze wszystkimi osobami, które od twoich czasów do dnia dzisiejszego nosiły nasze imię. Nie wspominam o tych, które istniały przed tobą, bo prawdopodobnie pamiętasz je lepiej odemnie. Nie mogę odżalować, że nie posiadam ich wizerunków, ale w owej epoce nie znano jeszcze sztuki fotograficznej. Oto jedyne pamiątki jakie mi po nich pozostały.

I zaprowadziwszy Idę do sąsiedniego pokoiku, pokazała jej kołyskę, parę stłuczonych lalek, kilka talerzyków z angielskiego fajansu oraz mnóstwo innych zabawek.

Włóczkowe trzewiczki, małeńkie pończoszki i sukienki przechowane były z największą starannością. Obok nich leżały trzewiki, suknie i kapelusze starszej już dziewczynki, niewielki sznurek koralikowy, kolczyki z turkusikami, elementarz z pozaginanemi rogami, oraz nagrody w szkole pozyskane.

— Nie pamiętam prawie ani tego dziecka, ani dziewczynki—mówiła panna Ludington — przypuszczam jednak, że spotkawszy je w niebie, otoczymy je macierzyńską miłością, nieprawdaż?

Obejrzawszy wszystkie pamiątki, znajdujące się w pokoju, panna Ludington wyprowadziła Idę, mówiąc:

— Chciałabym wiedzieć, co myślisz o wszystkich Idach Ludington, które nastąpiły po tobie, nie wyłączając i mnie naturalnie. Przyznaj, że niewiele zyskałaś na zapoznaniu się z niemi. Powiedz otwarcie, co myślisz, ja z pokorą wysłucham wyroku. Wszystkie razem nie spełniłyśmy nic takiego, coby posiadało szczególniejszą doniosłość.

— Nie o to mi chodzi — odrzekła z zakłopotaniem Ida—choć przyznaję, że życie wasze nie było takim, jak ja wyobrażałam sobie życie kobiety.

— Masz słuszość twierdząc, że doznałaś rozczarowania—odparła panna Ludington. — W istocie, nie dotrzymanyśmy nadziei, które ty zapowiadałaś, nie spełniłyśmy tego, czego miałaś prawo spodziewać się po nas.

— O nie—żywo zaprzeczyła Ida—wszak ty jesteś tak dobrą, szlachetną i łagodną. Wyobrażałam sobie tylko, że wyjdę za mąż i będę miała dzieci, co naturalnie nadałoby inny kierunek memu życiu; wiem jednak, że nie posiadałabym nigdy tyle zalet, ile ich w tobie dostrzegam.

— Dziękuję ci za te słowa pociechy — odrzekła stara panna, całując rękę Idy, jak gdyby młode to dziewczę było królową, któraby ją obdarzyła medalem za położone zasługi.—Zdaje mi się, że dla każdego człowieka najcięższą troską jest myśl złożenia rachunku ze swego życia duchom

minionych swoich „ja”. Nie wszyscy znajdą tak łaskawego sędziego, jakim ty jesteś dla mnie.

I mówiąc to, rozplakała się rzewnie.

Po obiedzie udały się obie do wioski, a Ida zasypywała towarzyszkę zapytaniem, pragnąc dowiedzieć się o losach tych, którzy przed czterdziestoma pięcioma laty zamieszkiwali domki Hiltonu. Konieczność dania dokładnych odpowiedzi wystawiała pamięć panny Ludington na dość ciężką próbę.

Ujrawszy zdala gmach szkolny, Ida pobiegła naprzód i nie czekając na towarzyszkę, usiadła w ławce na swem dawnym miejscu. Panna Ludington rozpoczęła wtedy rozmowę o koleżankach i zartobliwie przypominała Idzie imiona wszystkich młodych ludzi, którzy niegdyś ubiegali się o jej względy.

— Nie, tak być nie może! — ze śmiechem zawołała dziewczę. — Ty znasz wszystkie moje tajemnice, jesteś jak gdyby żywym dziennikiem moich myśli i uczuć, a ja nie wiem o tobie.

Dzięki serdeczności panny Ludington, Ida stawała się coraz śmielszą i mniej zakłopotaną, to też gdy zmrok już zapadł, obie trzymając się za ręce, wróciły do domu w bardzo wesółych usposobieniach.

— Jak ja mam mówić do ciebie? — pytała Ida. — Nie mogę nazywać cię Idą, tak jak ty mnie nazywasz a zresztą jesteś o tyle starszą odemnie, że nie śmiem mówić ci po imieniu.

Panna Ludington roześmiała się.

— Nie mam prawa żądać od ciebie takiej czolobitności—odparła—właściwie bowiem ja to jestem młodszą panną Ludington, chociaż mam siwe włosy. Jesteś o czterdzieści lat starszą odemnie, powinnabym więc mieć dla ciebie szacunek należny wiekowi. Masz jednak słusność, twierdząc, że nie możemy nosić tego samego imienia. Jakże temu zaradzić, skoro mowa ludzka nie posiada miana na określenie takiego stosunku pokrewieństwa, jaki zachodzi między nami?

— Zdaje mi się — z zakłopotaniem odrzekła Ida — że byłoby najwłaściwiej, abyśmy się uważały za siostry.

Panna Ludington odrzekła po chwili namysłu:

— Zapewne, nazywajmy się siostrami, inaczej bowiem nie można określić pokrewieństwa, które nas łączy. Stawiając różne części składowe jednej i tej samej osoby, pośrednio przynajmniej jesteśmy rodzeństwem. Szukając porównania w otaczającym nas świecie, porównałabym nasz stosunek do tego, jaki dopatrzećby można pomiędzy owocami, które drzewo rodzi w różnych latach. Wprawdzie nie jesteśmy podobne do siebie jak dwie siostry — dodała, spoglądając z zachwytem na Idę — co objaśnić można tem, że nigdy prawie nie bywa tak znacznej różnicy wieku między siostrami.

Postanowiono zatem, że odtąd wobec siebie i drugich uchodzić będą za siostry.

Chociaż znajomość obu kobiet trwała od doby niespełna, to jednak Ida czuła tak nieprzeparty pociąg do panny Ludington, ta zaś tak chętnie przelała na nią wszystkie skarby uczuć, nieużytkowane w samotnem życiu, że patrząc na nie zdawałoby się, iż są to przyjaciółki, które nie rozłączały się nigdy i żadnej skrytej myśli przed sobą nie mają.

Panna Ludington cieszyła się szczerze tą zobopólną przyjaźnią, zdawało jej się bowiem, że głos serca przemawia za słusnością tajemniczego węzła, który je łączył tak ściśle.

Uradowana obecnością Idy, zapomniała zupełnie o tragicznem zdarzeniu, dzięki któremu Ida gościła teraz pod jej dachem; zapomniała też o Pawle i przez dzień cały nią wyłącznie zajęta, nie zauważyła przy obiedzie wyrazu smutku, który zasępił czoło młodego człowieka. W zwykłym stanie rzeczy nie uszłoby to jej uwagi, dziwić się jednak nie można, że dziś nie myślała o nikim, lecz tylko o sobie i o swem drugim „ja“.

Sercem Pawła miotało tysiące najsprzeczniejszych uczuć.

Gdyby dobroczynna wróżka, widząc smutek młodzieńca, oddalonego od ukochanej, przyrzekła połączyć go z nią

pod warunkiem, że istota owa, będąca przedmiotem jego uwielbienia, nie dostrzeże tej miłości i uważać go będzie za obcego — wątpię, czy pomimo rozpacz i tęsknoty zgodziłby się na tak ciężkie warunki. A taki właśnie los spotkał Pawła. Mogąc patrzeć w oczy ukochanej kobiety, słysząc jej głos, oddychać tem samem co ona powietrzem, czuł się tak szczęśliwym, tak upojonym radością, iż chwilami dziwił się samemu sobie, że był zdolnym znieść taką rozkosz. Gdy jednak ona na namiętne jego spojrzenia, odpowiadała tylko uprzejmym uśmiechem, gdy odzywała się do niego grzecznie, lecz obojętnie, popadał wtedy w szaloną, bezgraniczną rozpacz.

Ach, stokroć łaskawiej spoglądały na niego oczy kobiety, którą portret przedstawiał! Wtedy przynajmniej mógł ludzi się nadzieją, że ona, będąc duchem, wie o jego miłości i wzajemnością mu odpłaca. Zrozpaczony, rozozarowany, mówił sobie, że w takich warunkach obecność Idy jest dlań tylko męczarnią. Nie mógł znieść obojętnego dźwięku jej głosu, a ciemnoszafirowe oczy, spoglądające nań bez żadnego wyrazu, wzbudzały w nim taki postrach, jak oczy Meduzy.

Przed wieczorem przyszedłszy do saloniku, zastał pannę Ludington samą.

— Na miłość boską—zawołał z rozpaczą—czemuż jestem zostawiony sam sobie? Postradam zmysły, jeżeli ty mi nie przyjdiesz z pomocą.

— Cóż ci się stało? — spytała ze zdziwieniem panna Ludington.

— Jaki? czyż nie nie wiesz? Wszak ona mnie nie poznaje. Zamiast odzyskać, utraciłem ją raczej. Kochałem ją szalenie, odkąd myśleć i czuć zacząłem, a dziś jestem jej obcym zupełnie. Czyż nie zauważyłaś, jak obojętnie na mnie spogląda? Ciebie poznała już i pokochała, ale ze mną nic jej nie łączy.

— Zkądżeby ona mogła cię znać, Pawle? Wszak i ja byłem jej nieznaną, dopókiśmy jej nie wytłomaczyli stosunku, zachodzącego między nami.

— Wiem o tem — odrzekł młody człowiek. — Nie mam do niej żalu o to, ale pogodzić się z tem nie mogę. Przemów za mną, cioteczko, niechaj się dowie przynajmniej, jak gorąco i stale ją kocham.

— Biedny Paweł! — rzekła panna Ludington z ciężkiem westchnieniem — zajęta własnem szczęściem, zapomniałam o tobie. Teraz dopiero rozumiem, jak srodze cierpieć musisz. Uczynię wszystko co będzie w mej mocy, aby ci pomódz i rozbudzić w jej sercu miłość ku tobie. Jestem przekonana, że dowiedziawszy się o wszystkim, ona cię pokocha, a wtedy będziesz najszczęśliwszym z ludzi. Biegnę do niej natychmiast.

I uściskawszy Pawła, w którego serce nadzieja teraz wstąpiła, panna Ludington wyszła z pokoju. Nie zastawszy Idy w sypialni, wróciła do saloniku, gdzie Ida siedziała teraz, przyglądając się portretowi wiszącemu nad kominkiem.

— Chciałabym ci powiedzieć o miłości jednego młodego człowieka — rzekła z uśmiechem.

— W kimże on się zakochał? — ciekawie spytała Ida.

— W tobie.

— We mnie? Ależ ja nikogo nie kocham i przez nikogo nie jestem kochaną. Ty chyba wiesz o tem najlepiej.

— Mylisz się — przerwała panna Ludington — żadna z kobiet na świecie nie była tak gorąco kochaną, jak ty nią jesteś. Opowiem ci całą tę historję, bo dziwnem mi się wydaje, że dotąd nic o niej nie wiesz.

I sięgnawszy pamięcią do czasów dzieciństwa Pawła, przedstawiła Idzie przebieg rozwoju jego uczuć, które wzmagając się stopniowo, stały się wreszcie tak silnemi, że przejęty niemi młodzieniec, nie widząc urody innych kobiet, do niej jedynie tęsknił i jej wszystkie marzenia swe poświęcał. Panna Ludington nie zapomniała też wspomnieć, jak potężny wpływ wywarło na Pawła przypuszczenie, że może ujrzeć ducha Idy i że temu jedynie zawdzięczać należy powrót jej do życia. Następnie zapytała Idę, czy wyobraża sobie jaka boleść szarpać musi sercem człowieka, który wi-

dzi, że ukochana przezeń kobieta spogląda nań jak na obcego. Nie zataiła nawet, że Paweł, szalejąc z rozpaczy, prosił ją o wstawienie się za nim: chciał bowiem, aby Ida wiedziała przynajmniej o jego miłości, jeżeli wzajemnością odpłacić mu nie może.

W pierwszej chwili Ida oniemiała z podziwu, później jednak, słuchając opowiadania panny Ludington, uśmiechała się słodko a wyraz rozmarzenia malował się w jej oczach.

— Czy mogłabyś go poprosić, aby przyszedł do mnie? — szepnęła nieśmiało, zaledwie panna Ludington umilkła.

Wszedłszy do saloniku, Paweł zastał Idę samą. Nie zdając sobie prawie sprawy z tego co czyni, padł na kolana i przycisnął do ust kraj jej sukni.

— Pawle! Najdroższy Pawle! — rzekła Ida głosem drżącym ze wzruszenia.

Podając mu rękę i podnosząc go z ziemi szepnęła:

— Przebacz mi, Pawle, nie wiedziałam o niczem.

Wtedy młody człowiek uczuł gorący jej oddech na twarzy i usta ich złączyły się w długim, namiętym pocałunku.

X. ~~Wzruszenie~~

Odtąd panna Ludington i Paweł otoczyli Idę niewypowiedzianem, bałwochwalozem prawie uwielbieniem. Bez przesady możnaby przyrównać młodą kobietę do bogini, która zstąpiwszy z niebios, ukazała się w cielesnej postaci oczom ojców, aby odtąd osobiście odbierać od nich te hołdy, które przedtem wizerunkowi jej składali.

Uczucia panny Ludington były tem silniejsze, że stanowiły jedynie wzniosłą, szlachetną miłość własną, tak jak naprzykład matki do dziecka będącego częścią własnego jej życia. Instynkt macierzyński drzemiący w głębi serca tej samotnej bezdzietnej kobiety przejawiał się teraz w przywiązaniu do pięknej dziewicy, połączonej z nią ściślejszemi więzami aniżeli te, które matkę z dzieckiem łączą. Życie Idy było tak dziwnie z jej życiem

związane a jednocześnie tak od siebie niezależne, że nie wahały się twierdzić, iż uczucia jej były tylko wzniosłym, szlachetnym egoizmem. Nie umiała ona zdać sobie sprawy co większą sprawia jej rozkosz, czy uczucie tożsamości z Idą, czy też świadomość różnic zachodzących między niemi.

Uczucia jej stanowiły dziwną mieszaninę tego zachwytu, jakim pała rozkochany młodzieniec oraz tego zadowolenia, jakie przepelnia serce kochanej przezeń kobiety. Przeniosłszy na Idę poczucie własnej osobowości, panna Ludington nie pragnęła niczego więcej nad to, aby móżdż ją kochać, uwielbiać i we wszystkim spełniać jej wolę.

Tak, spełniać we wszystkim jej wolę—takim był szczyt marzeń panny Ludington. Z najwyższą rozkoszą oddawałaby jej wszystkie posługi, z zazdrością spoglądała na służących, którym szczęście to przypadało w udziale. Żadne słowa nie zdołałyby odmalować uczuć, które wtedy przepelniały jej serce.

W sercu Pawła nastąpił też dziwny przewrót od chwili, w której Ida zstąpiła do tego domu otoczona aureolą niebiańskiej świętości.

Czyż dla prawdziwie kochającego człowieka może być większa rozkosz nad przypuszczenie, że pani jego serca posiada niepospolity charakter, że jest ideałem cnót wszelakich? W wielu razach przypuszczenie to opiera się li tylko na słodkim złudzeniu; w tym jednak razie atmosfera tajemniczości owiewająca postać Idy mogła wzbudzić zapal w człowieku najmniej skłonny do marzycielstwa.

Paweł przyrównywał siebie do owych szczęśliwych młodzieńców, których niegdyś olimpijskie boginie miłością swą obdarzały i w sercach których cześć religijna zlewała się w jedno z namiętnością uczuć ziemskich.

Od owej chwili, gdy serce Idy zabiło żywiej słuchając dziejów miłości Pawła, okazywała mu ona taką serdeczność, jaką młoda kobieta otacza zwykle wybranego mężczyznę. On jednak, daleki od korzystania z praw, któreby jawnie uczyniły go szczęśliwym, zadawał się dotknięciem jej

ręki, sukni lub warkocza, przepysznych, złotym odblaskiem połyskujących włosów.

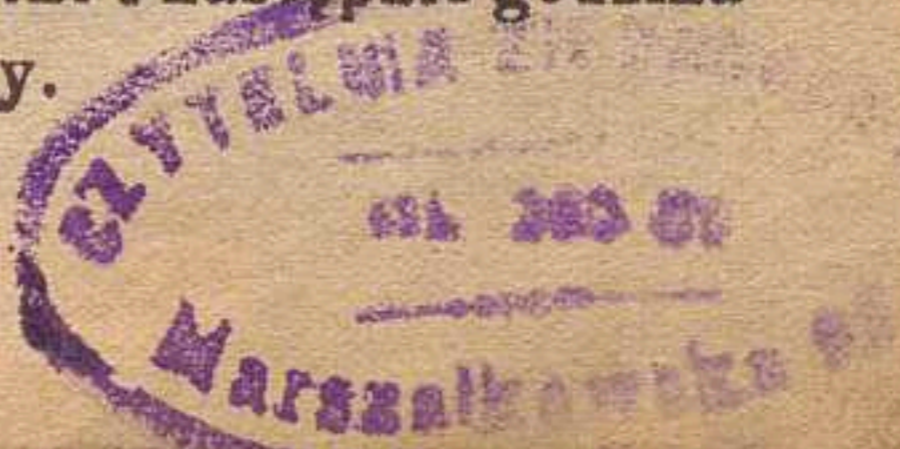
Owo zwątpienie o istnieniu własnem oraz otaczających ją osób, które w pierwszych dniach powrotu na ziemię malowało się w oczach Idy, znikło teraz bez śladu. Często jednak pogrążała się ona w głęboką zadumę; nie słyszano nigdy głośnego jej śmiechu a chmura smutku zasępiała cudnej urody oblicze. Zdawałoby się, że na chwilę nawet nie może odegnać wspomnienia tych tajemniczych ciemności, które otaczały ją zanim znów do światła wróciła.

A jednak wycieczki i spacery sprawiały jej taką przyjemność, że panna Ludington kupiła na jej wyłączny użytek powozik parą kucyków zaprzężony. Grywała też chętnie w krokieta, gdy Paweł, pragnąc wynaleźć dla niej rozrywkę, urządził tę grę w ogrodzie.

Zobaczywszy pierwsze suknie, które nadeszły dla niej z New Yorku, ucieszyła się tak, jak się raduje strojem każda młoda panienska. A jednak panna Ludington stokroć więcej od niej unosiła się nad bogactwem i pięknością wybranych materiałów.

Nie przywiązując wagi do ubrania, panna Ludington podczas ostatnich lat czterdziestu nie zastanawiała się nigdy nad tem, co włoży na siebie, teraz zaś kwestya toalety Idy zajmowała ją niewypowiedzianie. Zaprenumerowawszy pismo poświęcone modom, studyowała je bardzo sumiennie i ilość sukien Idy powiększała się z dniem każdym, gdyby ona nie stawiała temu oporu.

Panna Ludington pragnęłaby przebierać Idę kilkanaście razy dziennie, aby mózdz usługiwać jej i spełniać obowiązki panny służącej. Nie było dla niej zajęcia miłszego nad rozczesywanie bujnych włosów, które ukradkiem pocaulunkami obsypywała. Stroiła Idę w kosztowne atlasy i przejrzyste muśliny, wkładała jej na szyję sznury pereł lub korali, zapinała na rękę bransoletki i następnie godzinami całemi podziwiała owoc swej pracy.



Posiadała ona w spadku po matce mnóstwo klejnotów, pomiędzy którymi znajdował się wielkiej wartości garnitur brylantowy. Pewnego dnia wyjęła te kosztowności z szuflady, w której przez pół wieku blisko leżały nietknięte i oddała je Idzie, mówiąc:

— To twoja własność, siostrzyczko.

Ida przyjąć nie chciała tego podarunku, chociaż z nietajonym zachwytem spoglądała na drogie kamienie, w których światło łamało się wszystkimi barwami tęczy.

— To twoja własność—nalegała panna Ludington. — Nie czynię ci z nich podarunku, zwracam tylko to, co ci się z prawa należy. Odziedziczyłam je po tobie, gdy pożegnałaś tę ziemię; muszę więc oddać ci je teraz.

Przekonana tem rozumowaniem, Ida przestała się wahać.

Skutkiem tego, po tygodniu pobytu Idy w tym domu, obecność jej wydawała się wszystkim faktem, przyjemnym wprawdzie, ale najzupełniej zgodnym z rzeczywistością, nie przedstawiającym nic nadprzyrodzonego i tajemniczego.

Człowiekowi obcemu, przybyłemu tu na czas krótki, wydawałoby się dziwnem może, że Ida uważaną jest za najpierwszą osobę, do której stosują się wszyscy domownicy; prawdopodobnie jednak wytłomaczyłby on sobie to zjawisko—dość zresztą pospolite w amerykańskich stosunkach—powabem i pięknnością młodego dziewczęcia i dla objaśnienia go nie szukałby przyczyn nadprzyrodzonych.

Całej służbie powiedziano, że panna Ida jest krewną ich pani, a chociaż stopień tego pokrewieństwa wzbudzał ogólną ciekawość, nikt nie śmiał zapytywać o to ani panny Ludington ani Pawła. Szafarce zwłaszcza, która od lat wielu służąc w tym domu, znała najlepiej wszystkie stosunki rodzinne, wydawało się bardzo dziwnem, dlaczego sięgając myślą w przeszłość, nie przypomina sobie nikogo podobnego do Idy. Gdy jednak pomimo najusilniejszych starań nie udało jej się dowiedzieć niczego ani od panny Ludington, ani od Pawła, ani nawet od Idy, musiała ostatecznie wraz z innymi poprzestać na wiadomości, że nowoprzybyła nazywa

się Ida Ludington i jest krewną jej pani. Prawdziwość tego faktu zdawała się potwierdzać ta jeszcze okoliczność, że pozyskanie względów Idy stanowiło najpewniejszy sposób przypodobania się paunie Ludington i Pawłowi.

Nie było to zresztą rzeczą trudną, gdyż Ida, dzięki swej uprzejmości i prostocie obejścia, stała się wkrótce ulubienicą wszystkich domowników.

We dwa tygodnie niespełna po przybyciu Idy, panna Ludington otrzymała od doktora Hull list, oznajmiający jego przyjazd na dzień następny. Przypuszczając, że wiadomość ta może zainteresować pannę Ludington, doktor donosił, że za pośrednictwem innych medyków udało mu się kilkakrotnie obcować z duchem pani Legrand. Wyraziła mu ona swe zadowolenie, że śmierć jej posłużyła do stwierdzenia wielkiej prawdy, jako nietylko pojedyncze jednostki, ale wszystkie w różnych epokach w skład jej wchodzące osobniki dostępują nieśmiertelności. Uważała się za szczęśliwą, że teraz może być świadkiem tak radosnego życia i że świetną uczyniła zamianę w porównaniu z bytem doczesnym, podczas którego rozliczne choroby trapiły ją nieustannie.

Całą prawie treść obszernego listu doktora Hull, stanowiły urywki z rozmów jego z duchem pani Legrand.

Znaczna ilość duchów, które za jej sprawą powracały niegdyś na ziemię, powitały ją teraz przyjaźnie, oświadczając, że radość jaką im sprawia odkrycie, które ukoi boleść tylu smutnych i zrozpaczonych śmiertelników, równa się tylko zdziwieniu, jakiego doznawały, widząc, że przez tak długie wieki ludzie nie mieli świadomości tej prawdy. Od chwili zawiązania stosunków pomiędzy obu światami, duchy starały się usilnie przekonać ludzi o tej prawdzie, ale ciasne granice umysłu ludzkiego obracały w niwecz wszelkie ich usiłowania. W świecie duchów ogólne zdziwienie wzbudzał fakt, że człowiek posiadłszy już wiarę w nieśmiertelność może się zadowolnić tak bezpodstawnym poglądem i mniemaniem, że tylko ostatnia osoba wchodząca w skład danej jednostki dostępuje żywota wiecznego. Przypuszczenie takie

jest równie niedorzecznem jakby niem było staranne przechowywanie ostatniej kropli na dnie kieliszka, z któregooby poprzednio wylano wino.

Duchy nieśmiertelne pojąć nie mogą, dlaczego ludzie uważają za pojedynczą, nierozdzielną jednostkę, cały szereg osób tak różnych od siebie i tak luźnymi więzami z sobą połączonych. Stokroć łatwiej możnaby usprawiedliwić błąd inny, polegający na przypuszczeniu, że wszyscy członkowie rodziny posiadają jedną tylko duszę: członkowie rodziny bowiem mogą żyć współcześnie, osoby zaś składające daną jednostkę, muszą kolejno następować po sobie i być jednej z nich warunkuje się zniknięciem poprzedniej z widowni ziemi.

Kończąc list swój, doktor Hull zwracał się do panny Ludington z prośbą, aby nie sądziła, że powodowany ciekawością jedynie powziął zamiar odwiedzenia jej i przekonania się naocznie o życiu młodej kobiety, która w tak cudowny sposób przejęła w spuściznie siły żywotne jego przyjaciółki. Postanowił bowiem opracować książkę, w której nie wymieniając nazwisk, ohoiał przedstawić przebieg zjawiska, stanowiącego epokę w rozwoju spirytyzmu.

Panna Ludington, siedząc z Pawłem i Idą na werandzie, czytała im głośno list doktora. Paweł słuchał uważnie, spoglądając od czasu do czasu na Idę, która widocznie unikała jego spojrzenia.

— Jakże się cieszę, że pani Legrand jest szczęśliwą! — zawołała panna Ludington, skończywszy ozytanie. — Nie wycobrażałam sobie, aby ktokolwiek mógł się cieszyć z utraty życia. Przeświadczenie, że ona opłaciła śmiercią szczęście nasze, nie dawało mi dotąd spokoju.

I w istocie dziwnemby było, gdyby się nie czuła szczęśliwą, bo — jak sama powiada — śmierć jej nie była bezpłodną. Umierając, dała ona życie nie kwilącemu niemowlęciu, ale kobiecie, będącej w pełni sił i urody. Dotąd żadnej matce jeszcze taki los nie przypadł w udziale!

— Dotąd zapewne — powtórzył Paweł i uniesiony zapalem zerwał się z miejsca—ale któż zaręczyć może, że kiedyś gdy stosunki łączące świat doczesny z duchów krainą zostaną lepiej poznane, więcej kobiet nie dozna takiego losu? Ciemna, nikomu nieznana droga, którą Ida do nas przybyła, stanie się kiedyś tłumnie uczęszczanym gościńcem. Kobieta, której ona życie zawdzięcza, nie z własnej woli umarła, zdaje mi się jednak, że w przyszłości znajdą się kobiety gotowe ponieść śmierć, aby powrócić do życia zmarłych mędrców lub wojowników. Ród bohaterów nigdy nie zaginie, gdy szlachetne niewiasty ubiegać się zaczną o takie macierzyństwo.

Urwał nagle, spostrzegłszy, że wyraz głębokiego smutku maluje się na twarzy Idy.

— Przepraszam cię — rzekł. — Czy rozmowa ta sprawia ci przykrość?

— Tak — szeptem odrzekła, nie podnosząc na niego oczu. — Nie lubię myśleć nawet o tem. Radabym zapomnieć o przeszłości i czuć się podobną do innych ludzi.

Istotnie, od pierwszej chwili przyjazdu do Hiltonu, Ida niechętnie i z widoczną przykrością słuchała opowiadania o tem, co zaszło u pani Legrand. Sama nie wszczyniała nigdy tej kwestyi, odkąd panna Ludington i Paweł wytłomaczyli jej skutkiem jakich okoliczności pożegnała duchów krainę. I nie dziwi! Każdy bowiem, każda zwłaszcza kobieta niemilego doznałaby wrażenia, czując się istotą tak wyjątkową i anormalną. Prawdopodobnie zresztą do wytworzenia tej niechęci przyczyniała się też i wstydlivość dziewczęca, bo ogniste rumieńce występowały na twarz Idy, ilekroć wspomiano wobec świadków o powtórnych jej narodzinach.

XI.

Przyjechawszy nazajutrz popołudniu, doktor Hull zastał tylko Pawła, od którego dowiedział się, że obie panie wyjechały na spacer.

Doktór zarzucił młodego człowieka tysiãcem pytañ, tyozających się Idy: jak wyglãda, jaki stosunek wytworzył się pomiãdzy nią a pannã Ludington, czy zachowała jakie wspomnienia z epoki bytu bezoielesnego, czy świadomość owiewającej ją tajemnicy wpłynęła na kierunek jej umysłu, czy uważa się za istotę różną od innych ludzi i t. d. i t. d.

— Jedna zwłaszcza kwestya zaciekawia mnie najwięcej—mówił doktór. — Dokąd sięgają jej wspomnienia z czasów pierwszego pobytu na ziemi? Czy sięgając myślã w przeszłość, traci świadomość rzeczywistości nagle, jak gdyby w pewien ściśle określony dzień lub o pewnej godzinie ustąpiła miejsca swej następczyni?

— Nie—odrzekł Paweł—rozmawiając z pannã Ludington mówiła nieraz, że najdokładniej przypomina sobie zdarzenia, które najdawniej miały miejsce, podczas gdy dzieje ostatnich lat pozostawiły w jej umyśle zaledwie mgliste i niejasne wspomnienie.

— Tak też przypuszczałem—przerwał doktór.—Dana część składowa jednostki nie stacza się na dno przepaści, lecz zlewa w jedno z następczynią. Ani dziecięctwo, ani młodość, ani żadna epoka życia nie kończy się nagle, ustępując miejsca następnej fazie. Dusze ich znikają stopniowo, podobnie jak światło słońca chylącego się ku zachodowi. Zdaje mi się, że przypuszczenie to znajduje potwierdzenie w naszej świadomości o własnem istnieniu, nieprawdaż?

— Bezwątpienia—odrzekł Paweł. — A jednak nie dziwiłbym się wcale słysząc, że zmiana ta dokonywa się nagle i doraznie, że pamięć sięgając tylko do ściśle określonej chwili, odmawia następnie posłuszeństwa. Każdy z nas zastanawiając się nad przeszłościã, przypomnieć sobie może dzień, godzinę niemal, kiedy przeszedł z jednej epoki życia w drugã. W sercu naszym odzywa się wtedy głos mówiący wyraźnie: „wczoraj byłeś jeszcze młodym, dziś już nim nie jesteś”. Podobnie też dla człowieka, będącego w średnim wieku nadchodzi dzień, w którym nagle czuje się starym. Czyż podobnem byłoby zapomnieć chwili, w której duch młodości rozwinął skrzydła do odlotu?

— Przechodząc do innej kwestyi — rzekł doktor po chwili milczenia — czy nie zastanawiałeś się pan nigdy nad tem, ile osób składać się może na wytworzenie danej jednostki? Jest to kwestya bardzo ciekawa.

— Zdaje się, że ilość ta zmieniać się musi zależnie od charakteru i usposobienia jednostki — odparł Paweł. — U natur więcej skomplikowanych, ilość ich musi być znacznie większą, niżeli u natur pierwotniejszych, ale Bogu tylko wiadomo, ile osób na każdą z nich przypada. We wszechświecie nigdy miejsca nie zabraknie, kto wie zatem, czy za każdym oddechem nie dokonywa się we mnie zamiana dusz. Sądzę, że musi to mieć miejsce w takich chwilach największego natężenia sił żywotnych, w których... jak pospolicie mówimy... człowiek w ciągu jednej godziny starzeje się o lat kilka.

Zapaliwszy cygara, przez chwilę milczeli obaj.

— Gdy ludzie uwierzą wreszcie w złożoność charakteru jednostki — podjął Paweł — czyli mówiąc innemi słowy, gdy uwierzą, że składa się ona nie z jednej, lecz z wielu osób, wtedy dopiero etyka wkroczy na nowe pole badań tyjących się różnorodnych „ja“, które składają kolejno daną jednostkę. Z jednej strony dojdziemy do wniosku, że każdy człowiek ma obowiązek spełniać wszystkie zobowiązania zaciągnięte przez jego minione „ja“ — podobnie jak dobry syn stara się uczynić zadość wszystkim zobowiązaniom zaciągniętym przez zmarłego ojca. Obowiązek ten... o ile bywa zrozumianym... opiera się dzisiaj na błędnej zasadzie. Z drugiej znów strony z zupełnie innego punktu widzenia zapatrywać się będziemy na moralny związek człowieka z przyszłemi jego „ja“. Prowadzenie życia uczciwego, rozwijanie wedle możności sił fizycznych i umysłowych, pozostawienie po sobie dobrego imienia uważanem wtedy będzie nie tylko za obowiązek względem siebie samego, za „szlachetny egoizm...“ jak to dziś nazywamy... ale za obowiązek względem bliźniego, za odrębną postać uczuć czysto altruistycznych. Obowiązki człowieka względem przyszłych

jego „ja“ możnaby porównać do obowiązków ojca względem małoletnich dzieci, dla których stara się on powiększyć swe mienie lub przynajmniej przekazać im zdrowe ciało i imię niczem nieskalane. Wtedy stanie się prawdą niezbitą, że taki człowiek, którego dziś pobłaźliwie zowiemy „własnym swoim wrogiem“, stokroć cięższej dopuszcza się winy, niż gdyby pałał nienawiścią do całej ludzkości: niweczy bowiem przyszłe życie istot, względem których ma bezporównania większe obowiązki, niżeli względem innych współbraci.

— Z tego wszystkiego co powiedziałem—mówił dalej Paweł—wynika wniosek, że powinniśmy czuwać bacznie nad każdym słowem i każdą daną obietnicą, która stać się może ciężkim jarzmem dla przyszłych naszych „ja“.

— Aha!—zawołał doktor—jest to wzgląd bardzo ważny. Ustalenie teorii mnogości dusz pociągnąć musi za sobą tysiące zmian, pomiędzy którymi uwzględnićby należało pewne przystosowanie form gramatycznych. Skoro istota nasza w danej chwili posiada byt niezależny od minionych naszych „ja“, powinniśmy zatem mówić o nich nie w pierwszej, lecz w trzeciej osobie, albo też utworzyć nową formę gramatyczną.

— Bez wątpienia—oświadczył Paweł.—Wyrażając się ściśle, nie mamy prawa mówić w pierwszej osobie o minionych lub przyszłych naszych „ja“, ani też pożytywać sobie za zasługę dobrych czynów, które one spełniły lub też kiedyś spełnią.

W tej chwili turkot kół rozległ się na dziedzińcu. Paweł wybiegł na ganek i pomógł paniom wysiąść z powozu.

Powitawszy serdecznie doktora, panna Ludington zaprowadziła go na werendę, gdzie wnet rozpoczęli ożywioną rozmowę. Ida zaś ukloniła się chłodno, nie podnosząc oczu na gościa i odeszła do swego pokoju.

Zanim podano herbatę, Paweł uprzedził doktora, że każda wzmianka o tajemniczości jej bytu, sprawia Idzie przykrość i prosił go, aby nie podnosił bezpośrednio tej kwestyi.

Wyraz rozczarowania malujący się na twarzy doktora, świadczył wymownie, że przybył on tutaj z zamiarem dowiedzenia się od Idy szczegółów, któreby rzuciły nowe światło na teorię spirytyzmu. Pomimo doznanego zawodu, przyrzekł jednak zastosować się do życzenia Pawła, a nawet oświadczył, że uczucia młodej kobiety wydają mu się po części naturalnemi.

Dzięki temu, osobistość Idy nie stanowiła przedmiotu rozmowy podczas herbaty, a chociaż doktor mówił wciąż o spirytyzmie i nieśmiertelności, to przecież słowa jego ogólnikowo zaledwie jej się tyczyły.

— Miałem sposobność przekonania się, że siostrzeniec pani poświęcił dużo czasu rozmyślaniom nad kwestyą spirytyzmu. Starszy jestem od niego i przez ciąg całego życia obracałem się częściej w duchowych niż w materyalnych sferach, a jednak z prawdziwą przyjemnością słuchałem jego poglądów.

I zwracając się do Pawła, mówił dalej:

— Postawione przez pana przypuszczenie, jakoby za każdym oddechem odbywała się w nas zamiana dusz, godzi się z tem, co mi wczoraj objawiła pani Legrand. Twierdzi ona, że ci, którzy wierzą, że jedna tylko dusza przypada na każdą jednostkę, nie zdołaliby utworzyć sobie przybliżonego nawet wyobrażenia o bezbrzeżnych obszarach krainy duchów i że tłumy snujących się tam postaci możnaby porównać do gęstej mgły otaczającej ziemię. Teraz dopiero zdaje sobie sprawę z tego porównania, które na razie wydało mi się bardzo dziwnem. Powiedz mi pan jeszcze — dodał po chwili milczenia — jaki stosunek zachodzić może w krainie duchów pomiędzy odrębnymi duszami danej jednostki?

— Zdaje mi się — odrzekł Paweł — że pomiędzy duszami przebywającemi jednocześnie w krainie duchów zachodzić musi takie zjednoczenie, o jakim niepodobna nawet marzyć na ziemi, którą wciąż jedni witają, a drudzy żegnają na wieki. Wobec tego wyraz *jednostka* pojęty w dzisiejszem znaczeniu, jest błędem językowym i logicznym. Jakże mo-

żna nazywać jednostką to, co w każdej niemal godzinie ulega podziałowi? Ziemska widowia ludzkiego życia jest tak ciasną, że jedna tylko z osób tworzących daną jednostkę, pomieścić się na niej może; poprzednie i następne „ja“ czekać muszą za kulisami. Na obszernej zaś widowni duchowego życia dla wszystkich jednocześnie znajduje się miejsce. Tam dopiero następuje połączenie wszystkich osób tworzących daną jednostkę, a w ludzkim pojęciu jednostka taka staje się podobną Bogu. Nie należy jednak zapominać, że w niektórych razach podobne zjednoczenie jest niemożliwym. Olbrzymia sprzeczność charakterów i usposobień zachodzi niekiedy pomiędzy młodością a wiekiem dojrzałym pewnych jednostek. Kto wie, czy w takim razie duchy, nie mogące znaleźć żadnej spójni między sobą, nie wracają ponownie na ziemię, szukając natur pokrewnych.

Ida słuchała w milczeniu tej rozmowy, nie podnosząc oczu na obecnych. Po herbacie zwróciła się do Pawła z prośbą, aby zanim zmrok zapadnie zagrał z nią w kromkieta.

Panna Ludington i doktor Hull usiedli na werendzie przyglądając się grającym.

— Jakież jest właściwie imię pani? — zapytał doktor po chwili milczenia.

— Ida, naturalnie — odparła panna Ludington tonem niewypowiedzianego zdziwienia. — Jakżebym miała nazywać się inaczej? Wszak i ona nosi imię Idy Ludington.

— Ja właściwie nie powinienbym pytać o to, znając okoliczności jej powrotu na ziemię, ale jakże pani wytłuma czy tę kwestyę wszystkim ludziom, z wyjątkiem pana Pawła i mnie.

— Powiem im to samo — odrzekła panna Ludington.

— Zgoda — rzekł doktor — przypuśćmy jednak, że znajdzie się ktoś, kto zna rodzinę pani, albo też interesują się młodą a piękną panną, chciałby dowiedzieć się, jakie węzły pokrewieństwa was łączą. Nie może ona uchodzić za córkę pani. Powiedzenie prawdy na nioby się nie zdało, nikt bowiem nie uwierzy najgorętszym naszym zapewnieniom. Zre-

szta dziwić się temu niepodobna, ja sam nie dałbym temu wiary, gdybym nie był naocznym świadkiem odrodzenia Idy.

Panna Ludington zamyśliła się chwilę, poczem odrzekła:

— Mniejsza o to, prowadzimy życie tak samotne, że nikt prawie u nas nie bywa. Oboje z Pawłem wiemy, kim ona jest i to mi wystarcza.

— Zapewne—odparł doktor. — Położenie Idy byłoby stokroć trudniejszym, gdyby pani prowadziła życie światowe. Tak więc, dopóki pani cieszy się życiem i zdrowiem, żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi.

— Jakież niebezpieczeństwo pan przewidujesz?—spytała panna Ludington.

— Zechce pani zastanowić się nad tem, że ona właściwie nie ma nazwiska. Istniejące obecnie stosunki społeczne nie uwzględniają takiego pokrewieństwa, skutkiem czego w obliczu prawa pani tylko nazywasz się Idą Ludington. Ona nie mogłaby nawet zatrzymać się w hotelu. Zbytecznym byłoby zresztą troszczyć się o to, dopóki pani żyje.

— Ależ ja mogę umrzeć!—zawołała panna Ludington.

— Byłoby to dla niej największym nieszczęściem, gdyż w takim razie i ona umarłaby dla świata — odrzekł doktor i w dość zawiły, fantastyczny sposób rozwodzić się zaczął nad różnemi prawnemi i adwokackimi kruczkami. Panna Ludington skamieniała z przerażenia.

— Czy nie możnaby temu zaradzić?—spytała wreszcie, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia.

— Czemu, mianowicie?

— Czy nie możnaby dowieść jej praw do tego nazwiska?

— O! i owszem! i owszem!—wesoło zawołał doktor.— Nie jest to rzeczą tak trudną, jak się na pozór wydaje. Jedno z dwojga: niech ją pani adoptuje, albo też znajdzie kogoś, coby się z nią ożenił. Co do mnie, gdybym miał o trzydzieści lat mniej, nie zastanawiałbym się ani chwili nad

tem, że ona nie posiada nazwiska ani żadnych praw cywilnych.

Nie przyjąwszy propozycji panny Ludington, która chciała odesłać doktora do domu powozem, pożegnał się i pieszo podążył na stację. Przechodząc koło placu krokietowego, przystanął chwilę przyglądając się grającym. Obecność doktora musiała być niemiłą Idzie, bo stała zmieszana, ze spuszczonej oczyma. Doktor powiedział dobranoc obojgu młodym ludziom i wkrótce znikł im z oczu.

XII.

W kilka dni po bytności doktora Hull, panna Ludington zachorowała nagle.

Nie pozwalając nikomu zbliżyć się do chorej, Ida spełniała sama obowiązki dozorczyń i służącej. Całymi nocami siadywała przy niej, a w dzień kładąc się na parę godzin, usilnie nakazywała Pawłowi, aby ją obudził, jeżeli chora otworzy oczy lub zażąda ochładzającego napoju. Cicha, spokojna, niezmordowana, pełna poświęcenia, lekkim, lecz pewnym krokiem przesuwiała się jak anioł po pokoju chorej.

Widocznem było, że Ida cieszy się ze sposobności okazania się użyteczną pannie Ludington. Nie pozwalała nikomu spełnić najmniejszych posług, a gdy niebezpieczeństwo minęło i chora nie potrzebowała ciągłych jej starań, prawdziwy smutek malował się na pięknej twarzyczce.

Panna Ludington patrzyła z głębokim rozrzewnieniem na dowody przywiązania Idy. Według niej, naturalną było rzeczą, że pała uwielbieniem ku młodej dziewczynie, nie mogła jednak oprzeć się wzruszeniu, widząc się nawzajem tak szczerze kochaną.

— Chciałabym zawsze być chorą, abys ty mnie pielęgnowała, siostrzyczko—powtarzała często głosem pełnym wdzięczności.

Wstawszy wreszcie z łóżka, panna Ludington jeszcze przez kilka dni nie wychodziła z pokoju. Pewnego wieczoru, zawezwała Pawła do siebie. Młody człowiek stawił się natychmiast, a zastawszy ciotkę samą, usiadł przy niej, pytając troskliwie o stan jej zdrowia.

— Czuje się jeszcze bardzo osłabioną—odrzekła.—Doktor zapewnia wprawdzie, że wkrótce wrócę do zdrowia, wiem jednak, że nie mogę żyć wiecznie i że kiedyś nadejdzie chwila, w której was pożegnam.

Przerażony temi słowy, Paweł nie mógł utaić swej bolesti i zdziwienia, ona jednak mówiła dalej:

— Nie smuć się tem, mój chłopcze. Doktor twierdzi, że mogę jeszcze żyć długie lata, ale śmierć nikogo z nas nie minie i prędzej lub później do drzwi zakolacze.

Wezwałam cię tutaj, aby pomówić o Idzie. Od czasu choroby, a szczególnie od czasu ostatniej rozmowy z doktorem, rozmyślam wciąż nad tem, co się z nią stanie w razie mojej śmierci? Czy wiesz, Pawle, że ona właściwie nie ma żadnego nazwiska? Świat nie uwierzy w cudowne jej odrodzenie, a w obliczu prawa ja tylko jestem Idą Ludington.

— Wiem o tem—szepnął Paweł.

— Obecny stan rzeczy trwać może, dopóki nie umrę—podjęła panna Ludington—ale potem...

— Nie chcę mówić ani nawet myśleć o tem—przerwał Paweł—zresztą ja otoczyłbym ją opieką.

Panna Ludington patrzyła przez chwilę w milczeniu na młodego człowieka, wreszcie zarumieniwszy się żywo spytała:

— Kochasz ją, Pawle?

-- Czy ciocia nie wie o tem?—zawołał.

— I owszem—odparła panna Ludington i spuściwszy oczy, żywiej jeszcze zarumieniona dodała:

— Wiesz o tem Pawle, że w dzisiejszych stosunkach społecznych mężczyzna, który chce opiekować się młodą

kobietą, nie będącą jego siostrą, musi się z nią ożenić. Pomyślałżeś kiedy nad tem?

Purpurowy rumieniec oblał twarz i czoło Pawła. Milczał zakłopotany i silnem widocznie wzruszeniem przejęty, bo nagle zbladł śmiertelnie, w oczach ciemno mu się zrobiło, tak że jakby przez mgłę tylko widział pannę Ludington, która siedziała w fotelu ze spuszczonei oczyma.

Tak, on długo nad tem rozmyślał.

Myśl sama, że zagadkowa ta istota jest bądź co bądź kobietą, którą on osiąść może za towarzyszkę żywota, rozniecała ogień takiej namiętności w jego sercu, że odpędzał ją od siebie jak zmorę natrętą. Na horyzoncie jego marzeń widniał nieustannie dzień, w którym ten sen błogi rzeczywistością się stanie; nie śmiał jednak ani jednym słowem lub spojrzeniem przyspieszyć nadejście dnia tego.

Po długiej chwili milczenia szepnął głosem drżącym ze wzruszenia:

— Kocham ją.

— Nie wątpię o tem — odparła panna Ludington. — Nikt nie wie lepiej odemnie, jak szczerze ją kochasz. A przytem jesteś jedynym w świecie człowiekiem godnym takiej żony.

— Ale ona nie zechce zostać moją żoną — gwałtownie wybuchnął Paweł. — Pomimo serdeczności, jaką mi okazuje, wiem, że nie myśli o tem wcale. Wie, że ją kocham i w dobrej swej wierze nie sprzeciwia się temu, ale sama nie kocha mnie jeszcze. Czemżebym na jej miłość zasłużyć zdołał?

— Ona cię kocha — tonem stanowczego przeświadczeniem odrzekła panna Ludington. — Wprawdzie nie mówiłam z nią dotąd o tem, oddawna jednak to spostrzegłam. Kobieta potrafi najlepiej odgadnąć uczucie innej kobiety, a dziwnem byłoby, gdybym ja nie zdawała sobie sprawy ze stanu jej uczuć. Nie lękaj się jej odpowiedzi, Pawle. Nie będę się starała wymódl na niej przyzwolenia, ale jeżeli zechce zostać żoną twoją, przyszłość jej będzie wreszcie zapewnioną. Umarłabym wtedy spokojnie, wiedząc, że ją zostawiam pod opieką kochającego męża.

Paweł słyszał tylko pierwsze słowa, zawierające zapewnienie, że Ida go kocha i zechce zostać jego żoną. Upojony nadmiarem szczęścia, stracił prawie świadomość; tysiące myśli w chaotycznym nieładzie cisnęło mu się do głowy, dziwny szum powstał w uszach, zdawało mu się, że głos panny Ludington dochodzi gdzieś z oddali... z oddali.. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, wyszedł z pokoju i zbiegł ze schodów. Przechodząc korytarzem, przez nawpół uchylone drzwi spostrzegł Idę, która siedziała w salonie z książką w ręku.

Skwar letni dawał się we znaki nawet w mieszkaniu. Ida miała tego dnia na sobie blado zieloną muslinową sukienkę, przy której blada jej twarzązka wydawała się olśniewająco białą. Zajęta czytaniem, nie spostrzegła młodego człowieka, nie zauważyła jak miłosnem obrzucił ją spojrzeniem. Paweł rozgorzał znów uczuciem na widok kobiety, która miała zostać jego żoną; nie wierząc własnemu szczęściu, drżał ze wzruszenia na samą myśl, że kiedyś może porwie ją w objęcia i nazwie swoją na wieki. W tej chwili jednak nie miał odwagi zbliżyć się do niej i zataczając się jak pijany wyszedł z domu, aby w samotności odzyskać moc panowania nad sobą.

Oboj przelotnym miłośkom i mniej lub więcej niewinnym zalotom odczuwał w całej pełni urok piękności niewieściej, pojmował całą rozkosz życia, które prawdziwa miłość opromienia. Przez godzinę przeszło błąkał się bez celu po cichych ulicach wioski, usiłując skupić myśli i uśmierzyć namiętny żar, którym serce jego pałało. Powrócił wreszcie do domu, a czując się na siłach podolania teraz trudnemu zadaniu, wszedł do salonu, gdzie zastał Idę siedzącą na tem samym miejscu.

Na pannę Ludington rozmowa z Pawłem wywarła nie mniej silne wrażenie. Stan jej umysłu w tej chwili możnaby bez przesady nazwać dwoistą samoświadomością: zastanawiając się bowiem nad uczuciami i myślami Idy, uprzytom-

niała je sobie tak żywo, jak gdyby one jej bezpośrednio się tyczyły.

Zdawało jej się, że posiada dar jasnowidzenia, mocą którego przeniknąć może najskrytsze tajniki serca Idy, że pomiędzy nią a młodą panną zachodzi zobopólny związek dusz, stokroć ściślejszy od wszystkich więzów doczesnych a będący tylko przedsmakiem owej jedności, w którą podczas życia pozagrobowego zlewają się wszystkie osoby składające daną jednostkę. Samotna zawsze, odcięta od świata nie zaznała nigdy żywszych uczuć; teraz dopiero dzięki uduwnemu zjednoczeniu siebie samej z Idą, doświadczyć miała owych burz, które w epoce młodości szaleją w sercach ludzkich.

Zaledwie Paweł wyszedł z pokoju, przedstawiać sobie zaczęła, jakimi słowy on wyzna Idzie swą miłość i jaką odpowiedź otrzyma z ust zmieszanego dziewczęcia. Lica starej panny oblały się purpurą, pierś podnosiła szybkim oddechem; w przygasłych oczach zajaśniał blask marzeń dziewiczych.

Z ekstazy tej wyrwało ją nagle lekkie skrzypnięcie drzwi. Podniósłszy oczy, ujrzała Pawła i Idę stojących na progu. Ida miała oczy ku ziemi spuszczone, ręce jej zwisły bezwładnie i jak gdyby wstydem przejęta, wydawała się piękniejszą niż kiedykolwiek. Oblicze Pawła promieniało dumą i zwycięstwem. Objąwszy w pół kibić swej towarzyski, przywiódł ją do ciotki.

— Nie mogę uwierzyć, sen że to czy jawa — rzekł — i dlatego przyszedłem do ciebie, cioteczko, aby z ust twoich usłyszeć potwierdzenie tej wieści radosnej. Ona przyrzekła oddać mi swą rękę.

XIII.

Właściwie mówiąc, Paweł zaczął starać się o Idę tego dopiero wieczoru, gdy uzyskał prawo nazywania się jej narzeczonym; chociaż bowiem i przedtem nie taił się ze swem

ku niej uwielbieniem, to jednak pomny przepaści jaka ich dzieliła, starał się nadać swej namiętności pozory idealnego uwielbienia. Pierwszy pocałunek złożony na jej ustach rozniecił w jego sercu pożar iście ziemskiej miłości; Ida wydawała mu się teraz nie istotą nawpół duchem będącą, ale kobietą z krwi i kości, z ust której spijał nektar szalonego upojenia zmysłów i serca.

W postępowaniu Idy zaszła dziwna zmiana, odkąd platoniczny wielbiciel stał się jej narzeczoną. Widocznem było, że odpłaca jego uczucia wzajemnością i że czuje się szczęśliwszą teraz, gdy młody człowiek nie oddawał jej ozi jak istocie stojącej na niedostępnych wyżynach.

Pokochała go szczerze a jednak w postępowaniu z nim okazywała dziwną nierówność usposobienia. Panna Ludington zastawała ją często tonącą we łzach. Czasami znów miewała chwile dziecięcej prawie wesołości. Nie mogąc zrozumieć powodów jej smutku, Paweł przypuszczał z niepokojem, że ukochana jego musi być chorą lub nerwową.

Drugim, równie niezrozumiałym dla panny Ludington i Pawła objawem było niezadowolenie, jakie okazywała Ida ilekroć wspomniano o jej zamążpójściu.

Trzy tygodnie upłynęło już od chwili, w której zostali narzeczonymi, a Paweł pomimo najusilniejszych prośb, nie mógł uzyskać od niej stanowczej odpowiedzi w kwestyi oznaczenia dnia ślubu. Rumieniąc się ze wstydu, Ida odpowiadała, że nie czas jeszcze myśleć o tem. Ilekroć młody człowiek przedstawiać jej zaczął, że ze względu na jej położenie oraz na gorące życzenie panny Ludington, która, czując się coraz słabszą, pragnęła widzieć ich po ślubie— należałoby nie zwlekać dłużej, wybuchala spazmatycznym płaczem. Przerażony rozpaczą narzeczonej, Paweł pocieszał ją i uspokajał, nie śmiało nalegać więcej.

Zaniepokojony dziwnem jej zachowaniem się, Paweł postanowił wreszcie wyznać wszystko pannie Ludington i zasięgnąć jej rady.

— Nie trzeba na nią nalegać — rzekła panna Ludington, wysłuchawszy jego obaw. — Dała ci słowo, wiesz że cię kocha, dlaczegoż więc jesteś tak niecierpliwym? Czy zapomniałeś, Pawle, że przez lat tyle kochałeś ją, nie mając nawet nadziei zobaczenia jej kiedykolwiek?

— Pamiętam o tem, cioteczko, ale obecność jej wzmacnia moją niecierpliwosć.

W parę dni potem, panna Ludington weszła do pokoju Idy, a zastawszy ją samą:

— Kiedy macie zamiar się pobrać? — spytała.

— Nie oznaczyliśmy jeszcze dnia — wyjąkała Ida.

— Czy Paweł nie rozmawiał z tobą o tem?

— I owszem.

— Sądziłam, że nie chcecie zwlekać — po chwili milczenia podjęła panna Ludington. — Wiesz przecie dlaczego pragnęłabym ustalić twoją przyszłość i nie pojmuję dlaczego miałabyś się wahać, jeżeli go kochasz prawdziwie. A może nie jesteś pewną swych uczuć?

— Kocham go całym sercem! — zawołała Ida, wybuchając płaczem.

Panna Ludington usiadła obok Idy i przytuliwszy ją do serca, przemawiała do niej pieszczotliwie, ale młode dziewczę nie mogło powstrzymać się od płaczu.

— Jesteś dziwnie rozdrażnioną, siostrzyczko — mówiła stara panna — staraj się zapanować nad sobą. Nie przymuszam cię do niczego, chciałam tylko dowiedzieć się co uczynić zamierzasz. Ślub wasz odbędzie się wtedy, kiedy sama tego zapragniesz, tymczasem zaś postaram się pomyśleć o tem, aby ci zapewnić stanowisko w razie mojej śmierci.

— Co chcesz uczynić? — spytała Ida z niezwykłą ciekawością.

— Choć cię adoptować — odparła panna Ludington. — Na pozór wydaje się to dziwnem, abyś uchodziła za moją córkę, chociaż żyłaś na ziemi na tyle lat przedemną. Jeżeli nie zostaniesz żoną Pawła, jest to jedyny sposób nadania ci

praw do naszego nazwiska. W przeciwnym razie testament mój nie miałby znaczenia wobec prawa.

— Dlaczego?

— Dlatego, że uczyniłam cię moją spadkobierczynią, choć ci zapewnić byt niezależny.

— A Paweł?

— Nie lękaj się o niego—odrzekła panna Ludington.— Nie zapomnę i o nim; majątek mój wystarczy na to, abyście oboje mogli żyć bez troski o jutro.

— Zaklinam cię, nie czyn tego! — zawołała Ida, okrywając pocałunkami ręce panny Ludington i spoglądając na nią błagalnie. — Nie wezmę ani grosza. Nie chcę, nie mogę przyjąć tych pieniędzy. Czyż nie dość ci zawdzięczam, abym miała pozbawić Pawła tego, co on za swoją własność uważa? O nie! nie! ty tego nie uczynisz!

— Uspokój się, siostrzyczko — mówiła panna Ludington—i pomyśl tylko, czem my dla siebie jesteśmy. Wszak wszystko co posiadam, tobie się z prawa należy. Czyż kiedykolwiek ścisłejszy związek łączył dwie ludzkie istoty? Czyż ja nie odziedziczyłam po tobie wszystkiego... wszystkiego, nie wyłączając nawet mej osobistości? Zresztą, miałabyś równe prawa do uważania się za moją spadkobierczynię wtedy nawet, gdyby nie ta sama krew płynęła w naszych żyłach. Nie przewidywałam wprawdzie, że takim będzie rezultat naszych posiedzeń u pani Legrand, bądź co bądź jednak, ja to przyczyniłam się do sprowadzenia cię na ziemię. Nie dziw więc, że gdybyś była nawet obcą mi istotą a nie minionem mojem „ja“, miałabym obowiązek zapewnienia ci przyszłości.

Uspokoiwszy się trochę, Ida obtarła oczy. Słowa panny Ludington przekonały ją widocznie, bo nie sprzeciwiała się dłużej.

— Nie chcąc tracić czasu—dodała panna Ludington— pojedę z tobą jutro do Brooklynu i rozmówię się z adwokatem.

— Czyn, co uważasz za stosowne — z westchnieniem odrzekła Ida. Pod pozorem silnego bólu głowy nie ze-

szła na obiad i całe poobiedzie przesiedziała w swoim pokoju.

Panna Ludington powtórzyła wiernie Pawłowi swoją rozmowę z Idą. Młody człowiek szalał z rozpaczy i upokorzonej miłości własnej. Skoro Ida zgodziła się na propozycję adoptowania, wnioskować należało, że chwilowo przynajmniej zaniechała zamiaru zostania jego żoną.

Co ją do tego skłoniło? Czemu przypisać należy dziwny ten kaprys? Czy w taki sposób postępuje prawdziwie kochająca kobieta? Panna Ludington z ubolewaniem wstrząsała głową, słuchając skarg Pawła i ona bowiem zrozumieć nie mogła zagadkowego postępowania Idy. Ostrzegała go jednak, aby na razie nie żądał wyjaśnień, co mogłoby tylko zawikłać i pogorszyć sprawę.

Pałając gniewem i oburzeniem, Paweł nie zdołał jednak zachować urazy do Idy, ujrawszy ją wieczorem. Gdy weszła do jadalnego pokoju, zapuchnięte jej oczy i zaczerwienione powieki świadczyły, że upór ten nie jest wynikiem chwilowego kaprysu. Oburzenie młodego człowieka ustąpiło wnet miejsca serdecznemu współczuciu. Kto wie, czy nie przyszłoby między nimi do poufnej rozmowy; na nieszczęście jednak panna Ludington natychmiast po herbacie podniosła się od stołu mówiąc, że czuje się osłabioną i obojętnie udać się na spoczynek. Ida podała jej rękę i poszła pomódz jej rozebrać się. Zostawszy sam, Paweł czekał dość długo w nadziei, że Ida powróci jeszcze; wreszcie widząc, że nadzieja ta spełźnie na niczem, wyszedł do ogrodu, aby w samotności odzyskać utraconą równowagę ducha.

Okolo dziesiątej powrócił do domu, gdy nagle przy świetle padającym z okien saloniku dostrzegł jakąś postać siedzącą na werendzie. Zbliżył się cichaczem: to Ida! Siedziała na kanapie z twarzą w dłoniach ukrytą; konwulsyjne szlochanie wstrząsało jej piersią. Paweł podszedł na palcach i wszedłszy na kamienne schody stanął obok niej. Wreszcie szlochać przestała i tylko cichy płacz zdradzał boleść szarpiącą jej sercem.

Przejęty wzruszeniem na widok tak bezgranicznej rozpacz, Paweł stał chwilę w milczeniu. Łzy spływały zwolna po jego policzkach. I nagle przyszło mu na myśl, czy nie popełnił strasznego błędu, uważając ją za kobietę innym podobną i nakłaniając ją, aby jego żoną zostać zechciała. Kto wie, czy rozpacz ta nie jest wynikiem walki, jaką w sercu jej toczy pragnienie uczynienia zadość żądaniom ukochanego z nadziemską, duchową naturą wzdrygającą się wobec podobnego związku? Tak! takim bezwątpienia być musi źródło jej boleści.

W jednej chwili Paweł poczuł, że marzenia jego ziścić się nie mogą. Po krótkiej walce z samym sobą, stłumił samolubne porywy, wyrzekł się nadziei szczęścia ziemskiego i wzniósł znowu na wyżyny tej idealnej miłości, którą pałał ku niej przez lat tyle.

Uczyniwszy to postanowienie, dotknął lekko ręką jej ramienia. Ida podniosła głowę: spostrzegłszy ukochanego, zarzuciła mu ręce na szyję i rzewniej płakać zaczęła.

— Nie wierzysz, że ja cię kocham, Pawle?— zawołała głosem od łez drżącym.— Nie wierzysz...

— Wierzę — przerwał młody człowiek — i przeświadczenie to stanowi o mojem szczęściu. Teraz dopiero rozumiem, jak szalonym był zamiar poślubienia cię.

— Ach! Pawle, nie mogę zostać twoją żoną, dlatego właśnie, że cię kocham! Przysięgam, że mówię prawdę.

— Nie mam prawa żądać od ciebie takiego poświęcenia. Rozumiem wszystko!

— Co takiego?— z niepokojem spytała, patrząc mu badawczo w oczy.

W oczu, uszanowania pełnych słowach, Paweł oskarżać się zaczął, że niepomny nadprzyrodzonej jej natury, ośmielił się zapragnąć przykucia jej do siebie małżeńskimi węzły. Ida słuchała z niewymownem zdziwieniem. Zrozumiawszy wreszcie znaczenie słów jego, ukryła twarz w dłoniach, płonąca ze wstydu.

Gdy Paweł umilkł, podniosła się z miejsca:

— Czas udać się na spoczynek!—rzekła, kładąc koniec rozmowie. I nawet tkliwszem spojrzeniem nie pożegnawszy ukochanego oddaliła się śpiesznie.

XIV.

Wbiegłszy do swego pokoju, Ida zamknęła drzwi na klucz i z głośnym płaczem rzuciła się na łóżko.

— Zdawało mi się, że wyplakałam już wszystkie łzy—szepnęła, powstawszy wreszcie i przygładziwszy włosy w nieładzie rozwiane. — Zostawszy z nim jeszcze chwilę, nie zdołałabym oprzeć się pokusie wyznania całej prawdy... Lepiej się jednak stało. Umarłabym ze wstydu, nie śmiać spojrzeć mu w oczy... Trzeba raz temu koniec położyć—dodała jakby pod wpływem nagle powziętego postanowienia i usiadłszy przy biurku pisać zaczęła:

„Najdroższy Pawle, treść tego listu wytłomaczy ci, dlaczego nie zobaczymy się więcej. Nie mogę pozostać tu dłużej, kochana i uwielbiana przez tych, których haniebnie oszukałam. Uciekam więc. Zniknę wam z oczu na zawsze a sądzę, że radzi z tego będziecie po przeczytaniu mego listu. Ach, biedny mój Pawle! Ja nie jestem Idą Ludington! Jakże mogłeś chociażby na chwilę temu uwierzyć? Ale muszę opowiedzieć od początku całą tę smutną historję, a może wysłuchawszy jej cierpliwie zrozumiesz, dlaczego dałam się skłonić do takiego oszustwa.

Nazywam się Ida Slater. Po wyjeździe panny Ludington z Hiltonu, urodziłam się tam przed dwudziestu trzema laty. Ojciec mój jest wam znany pod przybranem nazwiskiem doktora Hull. Pani Legrand, której śmierć była tylko podstępem, jest siostrą mego ojca i trudni się wywoływaniem duchów. Ojciec spełnia rolę jej pomocnika a matka krząta się namawiając łatwowiernych do żądania posiedzeń, które stanowią jedyny nasz dochód. Jesteśmy bardzo ubodzy. Będąc człowiekiem wykształconym, ojciec próbował rozlicznych zajęć, ale żadne mu się nie udawało. Rad nie rad

musiał chwycić się tego sposobu do życia, aby móc wyżywić dzieci. Bez wątpienia nie jest to praca ucziwa, ale ludzie bogaci nie pojmują, jak ciężko ubogiemu zapewnić byt żonie i dzieciom.

Pierwszą myśl wprowadzenia was w błąd powzięła moja matka, podczas swej bytności u panny Ludington, gdy zobaczyła wiszący nad kominkiem portret, tak uderzająco podobny do mnie a tak mało—jak matka powiada—przypominający osobę, którą ma przedstawiać. Wyjazd nasz do Cincinnati był kłamstwem, zmyślonem w celu odwrócenia waszych podejrzeń. Pani Reinhart także nie istnieje. Z początku matka moja chciała tylko zachęcić was do posiedzeń, aby zarobić trochę grosza, później jednak, widząc wasze zdumienie na widok mego podobieństwa do portretu, powzięła myśl wprowadzenia mnie do waszego domu. Właściwie mówiąc, ty sam, Pawle, podsunąłeś im tę myśl, wyrażając przypuszczenie, że w razie śmierci medyum, duch pozostać musi w cielesnej powłoce.

Tysiące okoliczności sprzyjało wykonaniu tego zuchwalego planu. Spędziwszy całe dzieciństwo w Hiltonie, znałam doskonale wioskę, biegałam często do stojącego pustkami domu Ludingtonów, a przytem matka opowiedziała mi szczegółowo dzieje przeszłości panny Ludington.

Troska o moją przyszłość stanowiła jedyny cel zabiegów rodziców. Nie przeczę, że złą drogą dążyli do celu, chcieli jednak wyrwać mnie z nędzy. Matka cieszyła się myślą, że gdyby plan się udał, gdybyście, wprowadzeni w błąd, zabrali mnie z sobą jako prawdziwą Idę, żyłabym odtąd w dostatkach. A przytem widząc twoją miłość do Idy, rodzice mieli nadzieję, że przelejesz twe uczucia na mnie i że zostanę twoją żoną.

Wzgląd ten zachęcił mnie najwięcej do przyjęcia udziału w tem oszustwie. Już podczas pierwszego posiedzenia podobałeś mi się bardzo, gdy stanęłam przed tobą, a ty wpatrywałeś się we mnie z takim zachwytem. Czyż miłość młodego i pięknego mężczyzny nie schlebiałaby miłości wła-

snej każdej dziewczyny? Od dziecka zawsze objawiałam zamiłowanie do zawodu aktorskiego. Słyszałam nieraz jak mówiono, że czeka mnie świetna przyszłość na scenie, to też myśl odegrania tak trudnej roli, podbudzała silnie moją wyobraźnię. Dwa te względy, o których wspominałam, były dla mnie stokroć ważniejsze, niż nadzieja życia w dostatkach.

Choroba pani Legrand i wynikła ztąd przerwa w posiedzeniach była udaną, raz dlatego, aby was przekonać o doniosłości sprawy, a powtóre, aby zyskać na czasie. Musiałam zapamiętać wszystko, co mi matka opowiadała o dawnych mieszkańcach Hiltonu i o młodości panny Ludington; słuchałam ciekawie i wkrótce nabrałam przeświadczenia, że pamięć mnie nie zawiedzie. Matka mówiła mi nieraz: „Ido, gdybym przypuszczała, że jesteś złem dzieckiem i że nie przywiążesz się serdecznie do panny Ludington, nie zgodziłabym się na wprowadzenie w błąd mej przyjaciółki. Czynię to po części i przez wzgląd na nią, wiedząc, że będzie stokroć szczęśliwszą, jeżeli wszystko uda się pomyslnie“.

Widocznie moja matka kocha szczerze pannę Ludington, bo nieustannie kazała mi przyrzekać, że potrafię być jej wdzięczną. Ach! czyż ktokolwiek nie pokochałby jej sercem całym?!

Trudniąc się oddawna wywoływaniem duchów zmarłych i wiedząc, jaką pociechę przynosimy tym, którzy wychodzili pewni, iż oglądali drogą sobie istotę, uwierzyliśmy wreszcie, że popełniane przez nas oszustwa nie są nikomu szkodliwe.

O ciebie, Pawle, matka moja nie lękała się wcale, twierdząc, że potrafię być dobrą żoną i zapewnić szczęście człowiekowi, który mnie poślubi. Ja zaś myślałam o tem tylko, jak będę szczęśliwą, pozyskawszy twoją miłość. Matka uszyła mi suknię na wzór tej, którą ma panna Ida Ludington na portrecie. Wszyscy znajdowali, że pomimo staroświeckiego fasonu wyglądam w niej bardzo ładnie.

Nie potrzebuję opisywać, co dalej się stało. Muszę tylko objaśnić, dlaczego suknia rozpadła się w proch w parę godzin po mojem przybyciu do was. Choć nadać oszustwu wszystkie pozory prawdopodobieństwa, ojciec spryskał materiał jakimś preparatem chemicznym, który przegryzł tkaninę. Już siedząc w powozie nie śmiałam się ruszyć z obawy, aby suknia nie popękała.

Oglądając gabinet pani Legrand, nie znaleźliście ukrytych drzwi, ale nie mogliście spostrzedz, że cały sufit był ruchomy i za pociśnięciem sprężyny spuszczał się lub podnosił na zawiasach. Za pomocą dość skomplikowanej maszyneryi, osoba mająca się ukazać, spuszczała się z sufitu na ziemię po drabinie, której wszystkie szczeble obwinęto sukniem. Ów silniejszy prąd powietrza, o którym panna Ludington nieraz mi wspominała, pochodził zapewne z przejścia, jaki powstawał przy opuszczeniu i podnoszeniu sufitu.

Wszystko udało się z taką łatwością! Nawet środki ostrożności przez nas przedsięwzięte okazały się zbyteczne. mi, gdyż zarówno panna Ludington, jak ty, uwierzyliście natychmiast, że ja jestem ową ukochaną przez was Idą. Od chwili, w której przyjechałam z wami do tego domu, aż do dzisiejszego wieczoru, nie wątpiliście nigdy, kim ja jestem, lecz przeciwnie, oboje z panną Ludington używaliście wszelkich sposobów przekonania mnie, że jestem istotnie Idą Ludington.

Co się tyczy naszego stosunku, Pawle, nie twoja w tem wina, że już od kilku tygodni nie zostałam twoją żoną.

Przewidując wszystkie możliwe następstwa naszego planu, rodzice nie pomyśleli o tem tylko, co się stanie w razie, jeżeli w sercu mojem odezwie się prawdziwa wdzięczność dla panny Ludington i nad śmierć silniejsze przywiązanie do ciebie.

Stało się tak jednak, nie pozostaje mi więc nic innego, jak uciec niezwłocznie z tego domu. Naturalnie spodziewa-

łam się zawczasu, że się we mnie zakochasz, a czując dla ciebie sympatyę od pierwszej chwili poznania, cieszyłam się zawczasu myślą zostania twoją żoną. Ale sympatya ta nie zasługiwała jeszcze na miano miłości. Gdybyś mógł pojąć, jakie przerażenie mnie ogarnęło, gdy spostrzegłem, że stałeś się panem mego serca, ulitowałbyś się nademną! Cierpiałam niewysłowione męczarnie, słuchając twych słów miłosnych, a nie miałam odwagi wyznania ci prawdy z obawy, abyś mnie nie odtrącił z pogardą. Ach, Pawle, pomyśl ile cierpiałam podczas tych kilku tygodni i nie sądz mnie zbyt surowo!

Teraz zapewne rozumiesz, dlaczego starałam się uniknąć najłżejszej wzmianki o owych posiedzeniach, które były niecnem oszustwem. Gdy ojciec przyjechał tutaj, choć się przekonać naocznie o powodzeniu naszego planu, myślałam, że umrę ze wstydu. Już wtedy rola, której się lekkomyślnie podjęłam, wstręt we mnie wzbudzała.

Nie przypuszczaj jednak, Pawle, aby ojciec mój odegrywał tylko komedję, prowadząc z tobą dysputę o kwestyi nieśmiertelności. Żywy jego umysł interesuje się wszelkiemi nowemi poglądami. Będąc w domu jeszcze, słyzałam nieraz, że ojciec przyznawał słusznosc twoim teoriom o nieśmiertelności minionych „ja“. Co do mnie, podzielam w zupełności twoje zdanie i czuję, że zawiniłam nie tylko względem panny Ludington i ciebie, ale też względem ducha istoty, za którą mnie uważaliście.

Gdyby panna Ludington nie okazywała mi tyle dobroci, kto wie, czy nie wytrwałabym do końca w mej roli, ale wobec jej troskliwości i przywiązania graniczącego niemal z uwielbieniem, wyrzuty sumienia zatruwały mi każdą chwilę. Oddawna już uciekłabym stąd, gdyby nie miłość ku tobie, Pawle. Nie miałam siły cię opuścić. A jednak o ileż łatwiej przyszłoby mi uczynić to dawniej, niżeli w chwili obecnej!

Zbłądziłam ciężko, przyrzekając oddać ci swą rękę, wiedziałam bowiem, że nie osmieliłabym się nigdy popełnić

tak zuchwałego czynu. Ale kochałam cię zanadto, abym mogła zdobyć się na odmowną odpowiedź. Ach! jakże rozkoszne wspomnienie zachowałam z tych kilku tygodni! Czułam się tak szczęśliwą i zarazem tak godną politowania! Szalona rozpacz miotała mojem sercem, ze łzami w oczach usypiałam i rano budziłam się z płaczem, a jednak cieszyłam się niewypowiedzianie myślą, że jestem razem z tobą. Kochałam cię zanadto, abym mogła pozwolić na to, byś poślubił tak przewrotną istotę. W przeciwnym razie byłabym już twoją żoną, ale cała moja istota wzdrygała się na myśl oszukania cię.

Przez czas jakiś oszukiwałam cię wprawdzie, ale wiedziałam, że to się skończyć musi, że prędzej lub później nadejdzie chwila, kiedy odtrącisz z pogardą kobietę, której usta obsypywałeś pocałunkami. Gdy coraz silniej nalegać zacząłeś, aby oznaczyć dzień ślubu, wiedziałam, że już nadchodzi kres mojego szczęścia. Rozumiesz już zapewne, dla czego płakałam tak często. Dziś wreszcie dowiedziałam się, że panna Ludington chce mnie adoptować, choć mi zapewnić byt niezależny, w razie gdybym cofnęła ci dane słowo. Rozmowa ta skłoniła mnie ostatecznie do pożegnania was na zawsze.

Ach! Pawle, nie potępiaj mnie! nie sądź zbyt surowo! Postępowałam niegodnie, a jednak kocham cię najczystsza miłością. Przed chwilą, gdy zastałeś mnie płaczącą na werandzie, myślałam, że serce pęknie mi z bólu nie dlatego jedynie, że muszę cię opuścić na wieki, ale dlatego, że pozostawiam po sobie tak smutne wspomnienie. Gdy przyoisnąłeś mnie do serca, szepcząc słowa poiechy, czułam, że chwiać się zaczynam w powziętem postanowieniu, że nie będę miała siły ztąd odejść. Chciałam już paść ci do nóg, wyznać całą prawdę, błagając, abyś mi pozwolił zostać w domu jako służebnicy swojej. Ale gdy jałeś dowodzić, że zrozumiałeś wreszcie przyczynę mego oporu, że moja natura duchowa nie może poniżyć się do zawarcia związku ziemskiego, wtedy dopiero pojęłam, jak szaloną byłam przypu-

szcząc, że mogę uzyskać przebaczenie. Widząc, że nie zdoła zapełnić dzielącej nas przepaści, odnalazłam siłę potrzebną do uczynienia stanowczego kroku. Wstyd i pogarda dla siebie samej nie pozwoliły mi nawet pożegnać cię ostatnim pocałunkiem.

Opowiedziałam ci całą tę historję, choć, abyś wiedział, jak haniebnie cię oszukałam i jak szczerze żałuję za popełnione winy. Wtargnąwszy lekkomyślnie do tego domu, opuszczę go z rozdartym sercem. Sama najwięcej na tem ucierpiałam. Zapomniawszy o mnie, odnajdziesz znów w sercu idealną miłość dla Idy. Ona ci przebaczy chwilową niewierność. Dla mnie jedyną pociechą stanowi myśl, że ona jest duchem, bo żyjącej kobiecie nie oddałabym nigdy twego serca. Ach! Pawle! gdybym mogła mieć nadzieję, że czasami przynajmniej wspomnisz ze współczuciem o

kochającej cię na wieki

Idzie Slater“.

Napisawszy ten chaotyczny list, świadczący o głębokim wzruszeniu, Ida dołączyła jeszcze króciutki, serdeczny bilecik do panny Ludington. Druga biła na zegarze, gdy zapieczętowawszy drugą kopertę, położyła oba listy na stole. Następnie wyjęła z uszu kosztowne kolożyki, włożyła najskromniejszą sukienkę, okrycie i kapelusz, zgasła świecę, cichutko otworzyła drzwi i wyszła do przedpokoju.

Głęboka cisza panowała w całym domu, Szarawe błaski, rozjaśniające wschodnią stronę niebios, świadczyły, że krótka noc letnia skończy się wkrótce. Ida nie miała chwili czasu do stracenia.

Przechodząc koło pokoju Pawła, przystanęła raz jeszcze i oparła o drzwi rozpalone ożoło. Potem uklękła, po raz ostatni pocałowała ziemię i tłumiąc łkanie piersi jej rozdierające, zbiegła ze schodów. Przechodząc przez salonik, rzuciła błagalne wejrzenie na portret pięknej panny: „Przebac mi!“ — szepnęła drżącym głosem. Lękając się własnego rozrzewnienia, otworzyła prędko drzwi wiodące na werendę, zbiegła z kamiennych schodów i wyszła do ogrodu.

Niezwykły o tej porze szmer zbudził uwiązane na łańcuchu psa, który jednak poznawszy swą przyjaciółkę, zaczął radośnie lizać jej ręce. Rozczulona tym dowodem przywiązania, Ida pochyliła się nad nim, płacząc rzewnie. Wszak pies ten był jedyną istotą, dla której nie istniała różnica pomiędzy Idą Ludington a Idą Slater. On kochał ją dla niej samej.

Podniosła się wreszcie, obtarła oczy i pobięła szybko ku bramie. Pies przeprowadzał ją spojrzeniem. Stanąwszy na zakręcie alei, gdzie z po za drzew widziała jeszcze białe mury domu, spoglądała nań długo z tęsknotą. Wreszcie ostatnim wysiłkiem woli zawróciła się, wyszła za bramę i znikła na wiejskim gościńcu.

XV.

Nazajutrz panna Ludington obudziwszy się wcześniej niż zwykle, weszła do sypialni Idy. Daremnie kusilibyśmy się o oddanie jej zdziwienia, gdy ujrzała nietknięte łóżko, oraz dwa listy leżące na stole.

W parę minut potem, Paweł, otworzywszy oczy, ujrzał przed sobą pannę Ludington, na twarzy której malowała się boleść i osłupienie.

— Nie ma jej! — szepnęła wreszcie drżącymi ustami.

— Kogo niema?

— Idy. Nie zastałam jej w pokoju.

Ubrawszy się w mgnieniu oka, Paweł pobiegł z panną Ludington do sypialni Idy i oboje odczytali razem zostawione przez nią listy.

Kto wie, czy odkrycie to nie wywarłoby na nich wręcz przeciwnego wrażenia, gdyby Ida czas krótszy w pośród nich gościła. Teraz jednak wyznanie to okazało się spóźnionem. Zarówno panna Ludington jak Paweł pokochali Idę dla niej samej, nie pomnąc, że pod fałszywem nazwiskiem pozyskała ich życzliwość. Przywiązawszy się do osoby a nie

do imienia, nie smucili się tem, czy ukochana ich zowie się Idą Ludington, czy też Idą Slater.

— Ach! czemuż ona nas opuściła! — zawołała panna Ludington, zanosząc się od płaczu. — Dlaczegoż nie wyznała nam całej prawdy! Przebaczylibyśmy jej ten podstęp. Nie ona jest tu winną, ale jej rodzice. A zresztą, czyż mogliśmy mieć żal do istoty, której tyle chwil szczęśliwych zawdzięczamy? O, Pawle, trzeba koniecznie ją odszukać!

Paweł milczał jak grób. Narzeczoną jego, kobietą którą nadewszystko ukochał, znikła mu z oczu, nie zostawiając żadnego śladu po sobie, a jednak na twarzy młodego człowieka malowało się uczucie podobniejsze do radości, niżeli do rozpacz.

Rozumiejąc doniosłość oszustwa popełnionego przez Idę, napawał się jednak rozkoszą, odczytując list jej tohnący tak gorącem, serdecznem uczuciem. Poprzedniego wieczoru, pragnąc stłumić w sobie ogień ziemskiej miłości, postanowił wyrzec się nadziei poślubienia ukochanej, teraz zaś namiętność ta rozgorzała znów z całą siłą, gdy się dowiedział, że Ida jest rzeczywistą, istotną córką ziemi. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie potrafiłby już zadowolić się owem mglistem, idealnem uczuciem, które niegdyś mu wystarczało. Niepomny sprzeniewierzenia się dawnemu ideałowi, zrozumiał, że Ida Slater a nie Ida Ludington jest przedmiotem jego miłości.

Zrozpaczone dziewczę nie domyślało się zgoła, jak serdecznego doznałoby przyjęcia, wróciwszy niespodzianie do tego domu, z którego oddaliła się tajemniczo przed kilku godzinami.

Prawdziwa skrucha jest tak cenną zaletą, że często może okupić najgorsze nawet występki. Ida myliła się, sądząc, że panna Ludington i Paweł odtrącają ją z pogardą, dowiedziawszy się całej prawdy. Przeciwnie, szlachetny popęd, który skłonił młodą dziewczynę do zaniechania oszustwa w chwili, gdy usiłowania jej zdawały się być uwieńczone powodzeniem, wywarł na osobach czytających jej list

nader silne wrażenie, wobec którego zatarła się pamięć przyczyn, jakie spowodowały ułożenie całego planu. Dzięki serdecznej tej spowiedzi, przywiązanie ich do Idy wzmogło się jeszcze uwielbieniem dla szlachetności jej charakteru.

Paweł więcej niż kiedykolwiek tęsknił do narzeczonej teraz, gdy czuła się tak osieroconą i nieszczęśliwą. Kobieta, sercem której miotają ludzkie uczucia, winna wprawdzie, ale umiejąca wznieść się do tak szlachetnego zaparcia się siebie, była mu stokroć droższą, aniżeli anielsko doskonała istota, otoczona aureolą bytu nieśmiertelnego.

Po długiej naradzie, panna Ludington i Paweł postanowili wreszcie rozpocząć poszukiwania. Tegoż samego dnia we wszystkich dziennikach Brooklynu i New-Yorku ukazało się następujące ogłoszenie:

„Ida S — r. Przebaczymy wszystko. Wracaj natychmiast. Ulituj się nad naszą rozpaczą i donieś nam, gdzie bawisz obecnie.
I. L. i P. de R.“

Panna Ludington i Paweł mniemali, że ogłoszenie to nie ujdzie uwagi Idy, jeżeli schroniła się w którym z tych miast lub też w podmiejskiej osadzie. Tegoż samego dnia Paweł udał się dawnego mieszkania pani Legrand przy ulicy Dziesiątej. Przewidywania jego ziściły się: spirytystka wyniosła się stąd, zapewne z obawy podejrzeń i prawdopodobnie wyjechała do innego miasta, aby tam bezpiecznie rozpocząć oszukiwanie łatwowiernych.

Tydzień czasu upłynął, nie przynosząc żadnych wieści. Paweł błąkał się całymi dniami po ulicach Brooklynu i New-Yorku w nadziei spotkania Idy. Dręczony niepokojem, natychmiast po śniadaniu rozpoczynał wędrówki, które doprowadzały go do takiego znużenia, iż wieczorem, wróciwszy do domu, usypiał twardym, kamiennym snem.

W parę dni później, panna Ludington otrzymała pocztą paczkę, zawierającą suknię, kapelusz i okrycie, które Ida miała na sobie w noc ucieczki. Stempel pocztowy świadczył, że rzeczy te wysłano z Brooklynu, co nasuwało przypusz-

czenie, że Ida bawić musi w tem mieście. Widząc, że ogłoszenia w dziennikach pozostaną bez skutku, Paweł postanowił zwrócić się do polioyi z prośbą o odszukanie narzeczonej. Nie wątpił bowiem, że wymową swą i miłością potrafi ją nakłonić do powrotu.

Przyjechawszy nazajutrz do miasta w celu rozpoczęcia ponownych poszukiwań, otrzymał na poczcie list, zaadresowany pismem Idy. Drżącą ze wzruszenia ręką rozerwał kopertę i przebiegł oczyma następujące słowa:

„Czytałam podane przez was ogłoszenia, nie mogę jednak uwierzyć, abyście mi przebaczyli. Nie! to być nie może! A gdyby nawet tak było w istocie, gdybym nawet uwierzyć temu mogła, nie miałabym odwagi spojrzeć wam w oczy. Zdaje mi się, że umarłabym ze wstydu. Ach, Pawle, gdybyś mógł widzieć, jaki rumieniec wstydu pali mi twarz na samą myśl, że ty czytać będziesz wyrazy ręką moją skreślone! A jednak nie mogę się oprzeć pokusie napisania do ciebie. W tej chwili ogarnia mnie szalone pragnienie, abyśmy stale pisywali do siebie, chociaż nie zobaczymy się nigdy. Czy panna Ludington przebaczyła mi z głębi serca, czy też zezwala tylko na mój powrót dlatego... dlatego, że nie jestem ci jeszcze zupełnie obojętną? A jeżeli pomimo wszystko ty, Pawle, kochasz mnie dotąd... nie! to niepodobne do uwierzenia!... czy zdołałbyś zapomnieć o mej nicozemności? Odczytaj raz jeszcze list, który zostawiłam uciekając. Zastanów się nad całą ohydą mego postępowania. Nie! ja uwierzyć nie mogę, aby miłość twoja ostała się wobec pogardy. Ida Slater“.

Paweł odpowiedział na to wezwanie pierwszym listem miłosnym, choć pokonać wreszcie opór szalonej dziwozyny. W porywających słowach skreślił obraz swojej rozpacz, dowodząc zarazem, że panna Ludington tęskni za nią nie wypowiedzianie i że popełniłaby okrucieństwo, wahając się dłużej.

Nazajutrz otrzymał bilecik, zawierający jedno tylko słówko: „Powrócę“.

Tegoż samego wieczoru, gdy Paweł i panna Ludington siedzieli w saloniku, rozmawiając o Idzie i zastanawiając się, ile czasu jeszcze upłynie do jej powrotu, drzwi uchyliły się z cicha: Ida wbiegła do pokoju, rzuciła się na kolana przed panną Ludington i ukryła twarz na jej łonie.

W godzinę zaledwie udało się namówić ją, aby powstała z klęczek. Namiętne szlochanie było jedyną odpowiedzią na pocałunki i pieszczoty, któremi panna Ludington i Paweł obsypywali zrozpaczoną dziewczynę.

Gdy podniosła wreszcie głowę, na twarzy jej i w spojrzeniu malowało się takie przerażenie, że panna Ludington zaproponowała Pawłowi, aby wyszedł z nią na przechadzkę i porozmawiał sam na sam.

W godzinę potem Ida powróciła do pokoju. Piękne jej oblicze promieniało wyrazem szczęścia.

— Ślub nasz odbędzie się za dwa tygodnie! — z tryumfem wykrzyknął Paweł.

— Nie powinnabym na to zezwolić — nieśmiało szepnęła Ida — nie zasługuję na to, ale nie mam siły opierać się dłużej, bo kocham go szalenie.

— Zasługujesz na to w zupełności — łagodnie odparła panna Ludington — i nie dziwię się bynajmniej, że Paweł cię kocha. Jesteś zacną, szlachetną kobietą i potrafisz uczynić go szczęśliwym.

Przez kilka następnych dni Ida pojąć nie mogła, dlaczego panna Ludington i Paweł nie tylko nie okazywali jej lekceważenia, lecz przeciwnie, otaczali ją większą jeszcze miłością i szacunkiem. Prawdziwa jej skrucha wydawała im się nie pokutą za popełnione winy, lecz jakoby cennym przymiotem, który używał jej nowego blasku. Zdawałoby się, że żałuje ona za przewinienia innej jakiejś istoty, którą sama przewyższa nieskończeniem wartością moralną.

Właściwie mówiąc, takim rzeczywiście był pogląd panny Ludington i Pawła: przywykłszy wyosobniać pojedyncze fazy życia danej jednostki, twierdzili, że Ida w danej chwili nie może odpowiadać za dobre lub złe czyny, speł-

nione przed kilkoma tygodniami i że występna przeszłość nie rzuca cienia na cnotliwą teraźniejszość. Skrucha podnosi i uszlachetnia ducha. Grzech dawniej popełniony nie ciąży już na sumieniu istoty pokutującej zań szozerze. Zapatrując się z takiego punktu widzenia, panna Ludington i Paweł nie zadawali sobie nawet przymusu, aby nie przywiązywać wagi do popełnionego przez Idę oszustwa, które wpływać nie mogło na zmianę ich uczuć dla młodej kobiety.

Niepodobnem byłoby opisać radości Idy, gdy przekonała się wreszcie, że przyjaciele nie przypisują jej odpowiedzialności za czyny minionego jej „ja“, lecz że poniekąd uważają ją za zupełnie nową istotę. Przejawszy się także tą wiarą, pragnęła puścić przeszłość w niepamięć, rozkoszując się szczęściem chwili obecnej.

Dawna jej miłość dla Pawła i serdeczne przywiązanie do panny Ludington, przeistoczyły się teraz w uczucie tak silne, że nie pojmowała już życia zdala od tych obojga przyjaciół. Stan zdrowia panny Ludington stanowił jedyną chmurkę, zasępiającą czoło szczęśliwej pary narzeczonych. Idealne przywiązanie do Idy Ludington wydawało się Pawłowi mglistym snem tylko. Teraz dopiero, gdy Ida nie odgrywała już żadnej roli, poznać mógł prawdziwie i ocenić istotę, która stała się panią jego serca. Co dzień, co godzina niemal odkrywał w niej nowe przymioty, nowe zalety serca i umysłu, aż wreszcie niepojętem mu się wydawało, że dawniej mógł upatrywać jakiegokolwiek podobieństwo między tą wesołą, pełną życia i wdzięku dziewczeczką a martwym, sztywnem obliczem eterycznej Idy Ludington.

— Jakże się cieszę — zauważyła pewnego dnia panna Ludington — że ty jesteś istotnie Idą Slater a nie moją Idą.

— Dlaczego? — spytała Ida. — Czy nie byłoby ci milej widzieć we mnie uosobienie twojej młodości?

— O nie! — żywo zaprzeczyła panna Ludington. — Wiem, że życie moje zbliża się do końca, wolę więc połączyć się z nią na wieki, aniżeli zostawiać ją tu samą i osieroconą.

Panna Ludington nie mówiła nigdy ze smutkiem o chwili swojej śmierci i nie pozwalała ani Pawłowi, ani Idzie ubolewać nad koniecznością rozłąki.

— Głupcy tylko lękają się śmierci—mówiła często do Idy—wierzą bowiem, że każdy z nas raz tylko umiera i zapominają, że obecne ich „ja“ jest tylko ostatniem ogniwem łańcucha, złożonego z mnóstwa osób, które dawniej już rozstały się z tym światem. Śmierć czekająca mnie teraz, nie jest ani smutniejszą, ani też dla sprawy zbawienia ważniejszą od śmierci wszystkich osób, które składały się kolejno na wytworzenie mojej osobistości. Cała różnica na tem tylko polega, że ciało stanowiące siedlisko nieśmiertelnych tych duchów, traci wreszcie siły i w proch się rozpada.

W parę dni potem powiedziała znów Pawłowi:

— Pojąć nie mogę, dlaczego niektórzy ludzie boją się śmierci, sięgając zawsze myślą w przyszłość a nie w przeszłość. Obawiając się chwili śmierci, ciała zapominają o tem, że duch ich niejednokrotnie już zamierał. Jakże niedorzecznem jest przypuszczenie, że dłuższa wędrówka doczesna oddala chwilę zgonu! Wszak obecne „ja“ zamierza musi bez względu na to, czy ciało zdoła dłużej lub krócej zachować swe siły. Śmierć ciała jest tylko ostatnią z licznych śmierci, z których składa się nasze życie doczesne.

Ślub młodej pary odbył się w saloniku przed owym portretem, który wywarł tak stanowczy wpływ na losy obojga narzeczonych. Ida miała na sobie białą atlasową suknię, w której podobieństwo jej do portretu zdawało się więcej jeszcze uderzającym. Gdy panna Ludington wyraziła życzenie, aby wzięli ślub przed tym portretem, Ida w pierwszej chwili oparła się temu. Dziwny niepokój ją ogarnął; zdawało jej się, że duch pięknej dziewicy zapłonie ku niej gniewem. Ale panna Ludington uspokoiła wnet jej obawy:

— Mylisz się—rzekła poważnie.—Czyż duch może odczuwać ziemskie namiętności? Dzięki tobie, Paweł otrząsnął się z pięknego wprawdzie, ale niedorzecznego marzenia, które mogło wywrzeć zgubny wpływ na całą jego przy-

szłość. Wierzę głęboko, że duch mojej Idy natchnął cię myślą przybycia do nas, aby Paweł mógł w tobie ją pokochać. W przeciwnym razie, nie potrafiłby on sprzeniewierzyć się pierwszej kochance.

W tydzień po ślubie, Ida, wszedłszy rano do pokoju panny Ludington, znalazła ją martwą. Widocznie śmierć nastąpić musiała nagle, bo żadne z małżonków nie słyszało najlżejszego szmeru, lub jęku w pokoju, który znajdował się tuż obok ich sypialni. Wyraz niewypowiedzianej szczęśliwości malował się na martwym obliczu starej panny.

* * *

Natychmiast po pogrzebie panny Ludington, Paweł wyjechał z żoną do Europy. Podczas ich nieobecności, pożar wybuchł pewnej nocy w jednym z domków Nowego Hiltonu. Skutkiem braku ratunku, oraz silnego wiatru, wieś cała padła pastwą płomieni. W zamkniętym domu mieszkalnym spaliły się wszystkie meble oraz wiszący nad kominkiem portret Idy Ludington. Dowiedziawszy się o tej stracie, Paweł i jego żona zmartwili się szczerze.

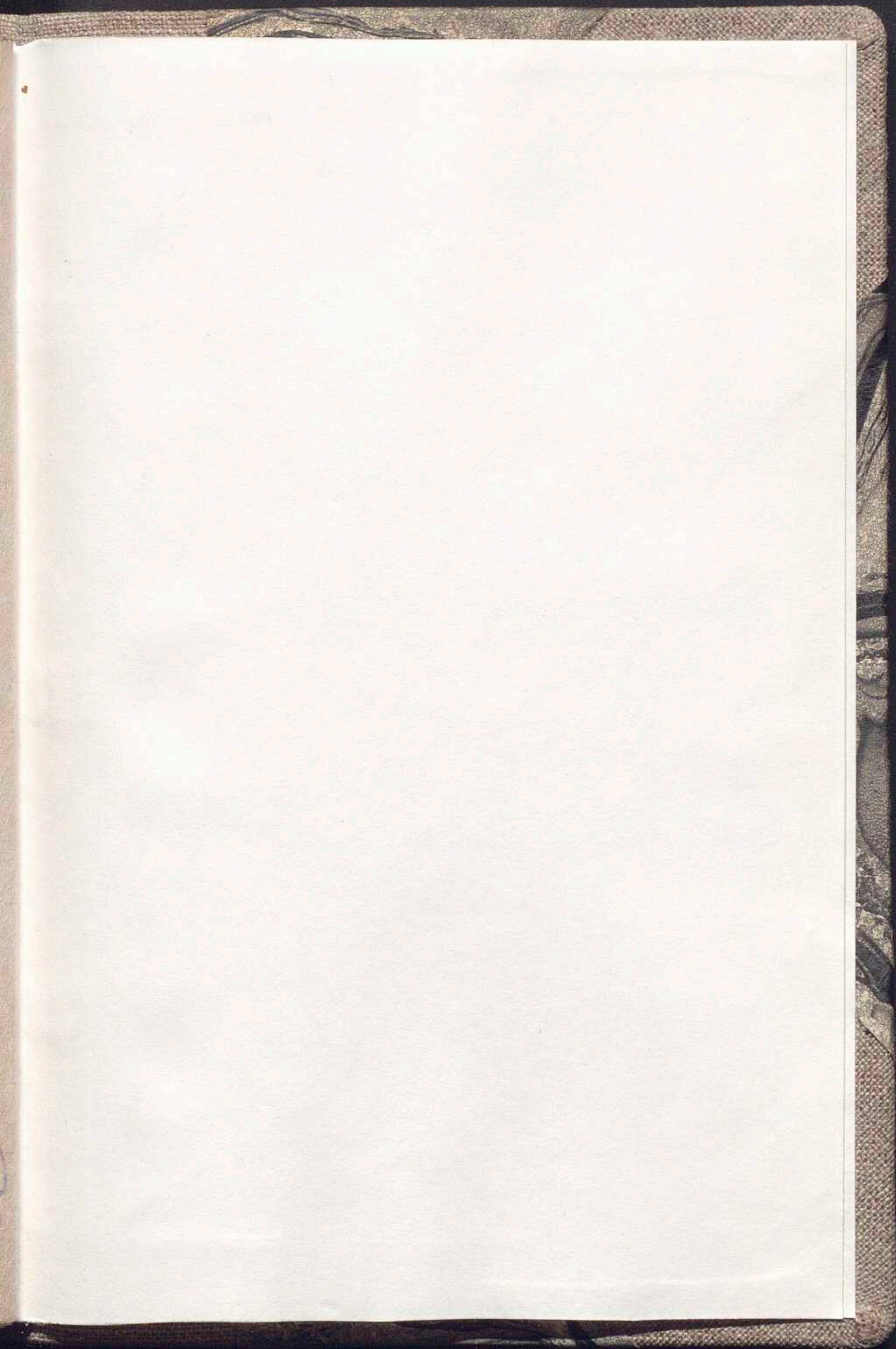
— Może tak lepiej się stało, skoro ona już nie żyje — rzekł Paweł, ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — Niechaj popioły idą do popiołów! Przeszłość minęła bezpowrotnie.

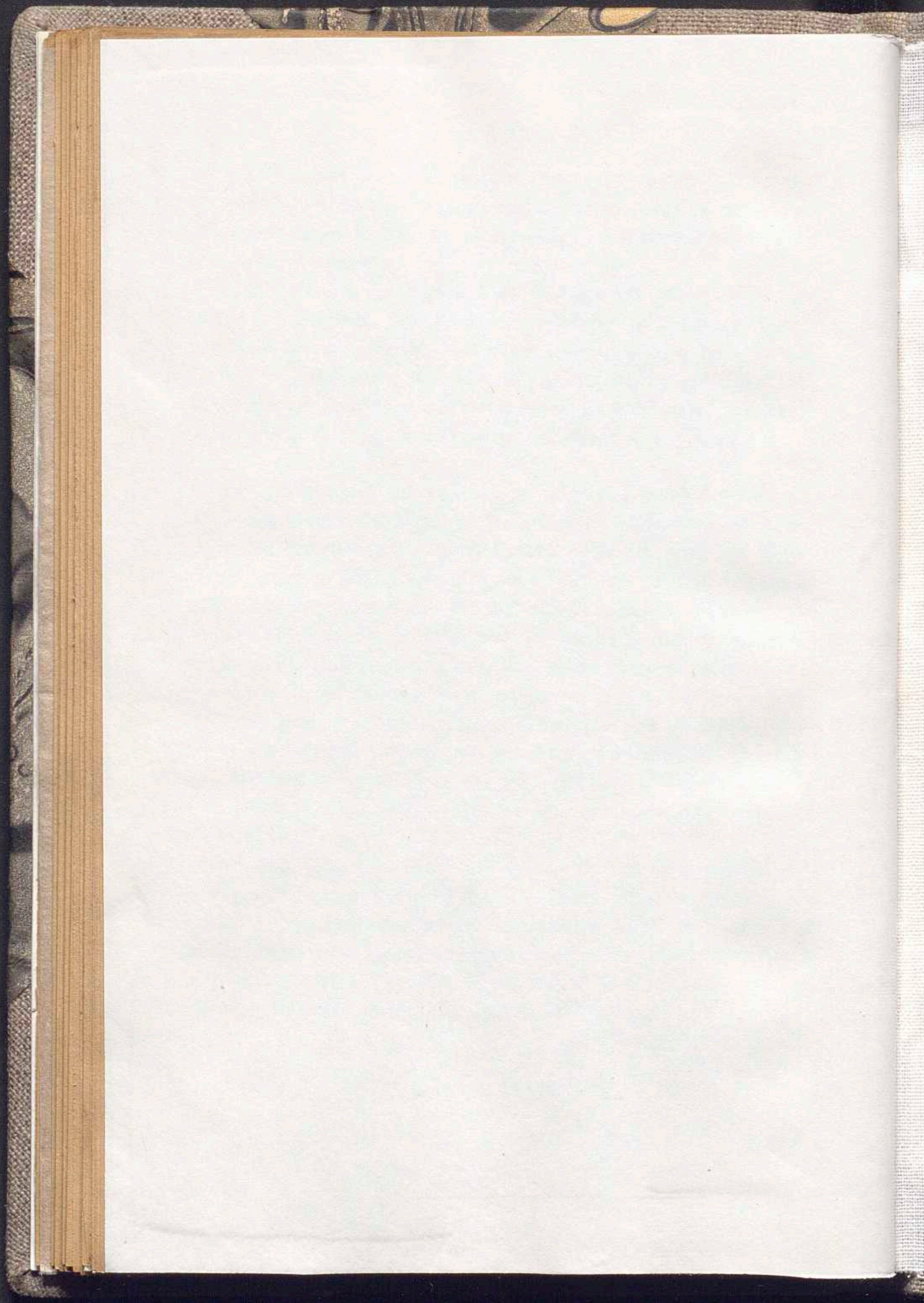
Powróciwszy do kraju, młodzi małżonkowie osiedlili się w New Yorku.

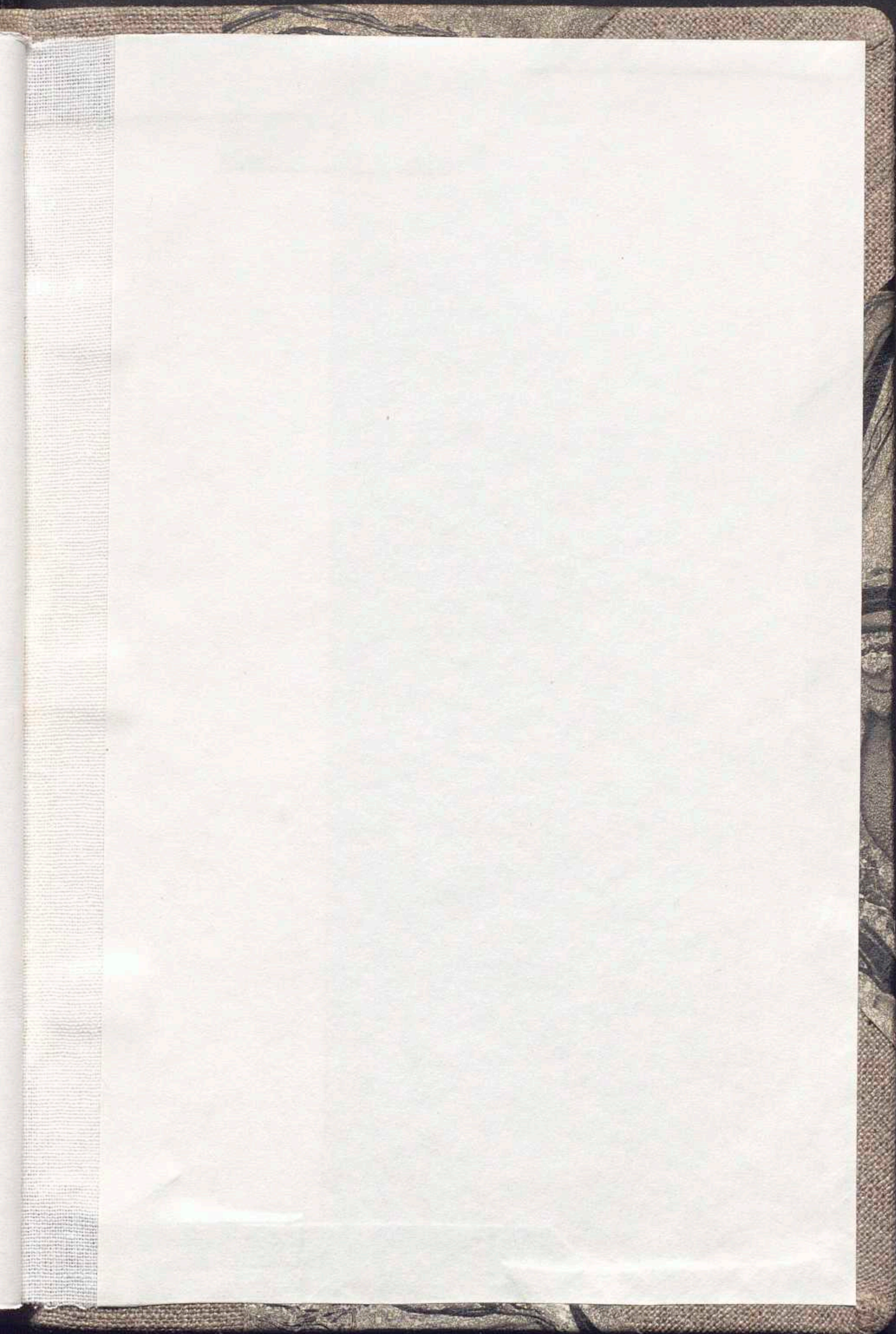
Zbytecznym byłoby dodawać, że Ida starała się wydzwignąć rodziców z nędzy i skłonić ich do zaniechania sztuki wywoływania duchów. Doktor Hull a raczej pan Slater stał się najserdeczniejszym przyjacielem Pawła, wspólnie z którym prowadzi dalej swe studia nad kwestyą nieśmiertelności minionych „ja“ danej jednostki.

K O N I E C











49333

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001003604719